TYGODNIK
ŁÓDZKI
Rok IV. Nr 10 (158)
Łódź, 12-III.
1961 r.
cena
1 zł

# odgłosy

# OPOWIEŚCI von HAGENA

**„Wiktor von Hagen opowie Wam o tym, jak prowadzili wojny. Opisze ich świątynie i pałace, splendor królestwa Montezumy, wspaniałość miasta Tenochtitlan, zbudowanego na jeziorze w głębi Meksyku. Przedstawi Wam życie codzienne Azteków równie dokładnie jak sposób preparowania ofiar ludzkich, poświęconych bogom...“ — tak amerykański wydawca poleca swoim czytelnikom książkę amerykańskiego naukowca i odkrywcy. „Odgłosy“ postanowiły udostępnić i swoim Czytelnikom fascynującą opowieść von Hagena; tego rodzaju historie spełniają dziś tę samą rolę co dawniej opisy przygód podróżniczych; świat współczesny nie ma już tylu tajemnic, jak niegdyś, w rezultacie pisarze sięgnęli do nowych dziedzin, kto wie czy nie jeszcze bardziej interesujących — do przeszłości. Prawda o nieznanych ludach i upadłych państwach okazała się niezwykle fascynującym tematem i zdobyła w ostatnich latach setki zwolenników. „Odgłosy“ przypuszczają, że zdobędzie ich także wśród Czytelników naszego pisma...**

Mówi się o nich jako o Aztekach, tymczasem w rzeczywistości wcale nie nazywali się Aztekami. I mówi się o „aztecki imperium“ tak jak mówi się o imperium rzymskim czy państwie peruwiańskich Inków, chociaż z całą pewnością Aztekowie nie stanowili imperium... Co więcej — kiedy zjawili się na terenie Meksyku, żadne z plemion w okolicy jezior, gdzie się później osiedlili, nie odnotowało ich przybycia; tak dalece mało się „liczyli“. Także ich „królowie“ byli naprawdę jedynie wybieralnymi „wodzami“ i oczywiście nie mogło być mowy o „dworze Montezumy“; jako taki co najwyżej mógł przetrwać on w pieśni...

Ale plemię Tenochą zwane „Aztekami“ było pierwszym ze starożytnych Królestw Słońca, jakie spotkali na swej drodze średniowieczni konkwistadorzy; siła pierwszego wrażenia nie mogła pozostać bez konsekwencji i stąd nasze przyzwyczajenie do pojęcia „azteckiego imperium“.

Wiemy dziś o Azteków niemal wszystko; nie ma chyba takiego elementu w ich życiu, który by nie został odkryty, zanalizowany i opisany. Ich pradzieje, historia, zagadkowe pismo, religia i kalendarz — wszystko wentyluje się na wsze strony. I jeśli trudno dziś pisać o Aztekach, to dlatego, że historia ich jest wyjątkowo skomplikowana...

### FERNANDO CORTEŻ, SŁUCHACZ UNIWERSYTETU W SALAMANCE.

Już pierwsze kontakty Europejczyków z Aztekami zostały dokładnie, jak się to dziś mówi, „zdokumentowane“. Fernando Cortez, zdobywca Meksyku, awanturnik i barbarzyńca, uważany był w swoim czasie za człowieka nauki — skończył przecież uniwersytet w Salamance... Między jedną bitwą a drugą, jeszcze z placu boju, pisał słynne listy, „Carta-Relaciones“, do hiszpańskiego króla, zdając sprawę ze swych podbojów. Także jego kommilitoni rejestrowali swoje wrażenia, a jeden z nich, Bernal Diaz del Castillo, z którym się jeszcze nieraz w tej opowieści spotkamy, podyktował swoje pamiętniki, mając lat 84, straciwszy już wzrok i słuch. I tylko pamięć tamtych dni sprzed lat piędziesięciu pozostała w nim żywa...

Już w 10 lat po lądowaniu Corteza, w 1529, zjawił się jeden z pierwszych historyków Meksyku, niezmordowany mnich Bernardino de Sahagun, najwybitniejszy z ojców misjonarzy, przyglądających się, jak giną tubylcze mocarstwa, i skrupulatnie notujących wszystko, co można było o nich zanotować. Cały wiek siedemnasty należał do tych „padres“, później przyszły pierwsze europejskie drogi, nowe szlaki wygodnych podróży, nowe zainteresowania i pierwsze... odkrycia: w 1773 pozostałe po państwie Mayów ruiny w Palenque, potem przejmująca grozą świątynia Quetzalkoatl'a w Xochimilco, a wreszcie — gigantyczny kamienny kalendarz aztecki wśród fundamentów

Dalszy ciąg na str. 9

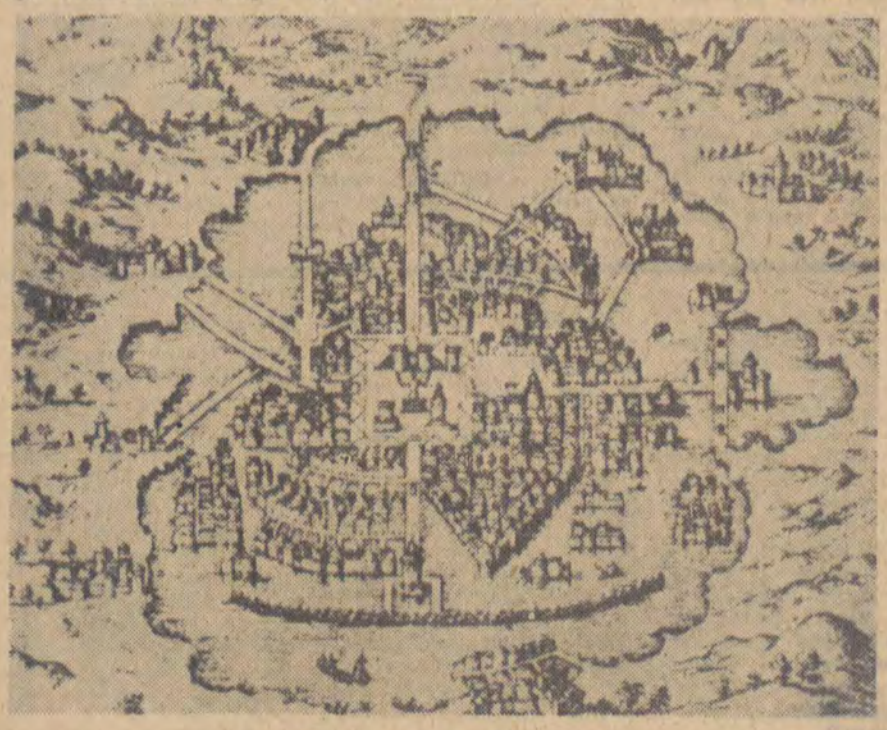

*Stolica imperium Azteków z XVI w.*

*Na pożegnanie zimy*

*Fot. Włodzimierz Parys*

KRYSTYNA WOJTASIK

# Co czytają dyrektorzy?

1. **Na jakiej sztuce w łódzkim teatrze był(a) pan(i) w okresie ostatniego roku (względnie kilku lat)?**
2. **Jaką książkę i jakiego autora czytał(a) pan(i) ostatnio?**
3. **Jakie czasopisma pan(i) czytuje?**
4. **Jakie dzienniki pan(i) czytuje?**

Oto pytania naszej ankietki, w której uczestniczyło 10 dyrektorów i 10 robotników (w tym 2 kobiety) z dziesięciu łódzkich zakładów przemysłowych. Ze względu na niewielką ilość pytanych osób ankieta, oczywiście, nie daje pełnego obrazu zainteresowań kulturalnych i stopnia intensywności życia kulturalnego obu wspomnianych grup łódzkiego społeczeństwa.

### TEATR — INSTYTUCJA NIE ZNANA

Najbardziej jednolicie (niestety w sensie negatywnym) ukształtowały się odpowiedzi na pytanie nr 1. Spośród 10 robotników żaden nie bywa w teatrze i **żaden** nie potrafi wymienić ani jednego tytułu sztuki kiedykolwiek przez siebie oglądanej. Cztery jednak (a właściwie czworo) bez chwili namysłu wymienia tytuły operetek. Również wśród dyrektorów operetka cieszy się o wiele większą popularnością niż teatry dramatyczne. Pięciu dyrektorów, bywalców operetki, uzasadniało ten stan rzeczy chęcią odprężenia się, pośmiania, odpoczynku, jeden powiedział nawet, że dlatego właśnie bywa na **każdej** operetce, inni nadmieniali, że jest to ich ulubiona rozrywka; czterech natomiast wymieniło po jednej sztuce granej w łódzkich teatrach. A była między innymi i sztuka Wojciecha Bogusławskiego „Henryk VI na łowach“ grana w Teatrze Nowym dobre parę lat temu. Z obecnie granych podane zostały: „Opera za 3 grosze“ i „Zagłoba swatem“.

Swój nikły (lub żaden) kontakt z łódzkimi scenami tłumaczą dyrektorzy przede wszystkim brakiem czasu (na operetkę jakoś się ten czas wykroi) oraz — posiadaniem telewizorów. Przy okazji więc uzyskaliśmy przyczynek do tak ostatnio modnego, a palącego i szeroko dyskutowanego zagadnienia pt. „Czy telewizja stanowi konkurencję dla teatru?“ (dla operetki, wiadomo, nie). W wypadku naszej ankiety okazało się, że stanowi. Oglądanie spektakli TV wpływa, jak to przyznali zainteresowani, niekorzystnie na frekwencję w

(Dalszy ciąg na str. 2)

CO ciekawego w numerze?

str. 2.
Dyskusja o młodzieży
TYLKO „KANT“ MOŻE NAS URATOWAĆ?

str. 3.
MIESZANKA FILMOWA

str. 5.
Przed wyborami do rad
MIASTECZKO GDZIEŚ W WOJEWÓDZTWIE

str. 8.
TYLKO DLA KOBIET DOJRZAŁYCH

str. 10.
TELEWIZJA

str. 12.
ODGŁOSY TYGODNIA

JACEK LEBEN

# Ostatnia szansa ONZ

Organizacja Narodów Zjednoczonych jest potrzebna światu. Potrzebna nie tylko na dziś, ale chyba przede wszystkim na jutro. Bez powszechnej organizacji międzynarodowej nie jest bowiem możliwe rozbrojenie, fundament pokojowego współistnienia. Jeżeli jednak Organizacja Narodów Zjednoczonych ma przetrwać w tym burzliwym, podzielonym świecie to nie może służyć interesom żadnej grupy państw. Motorem ich działania winna być piękna karta Narodów Zjednoczonych, która zaleca „Zjednoczyć swe siły dla utrzymania międzynarodowego pokoju i bezpieczeństwa", „Popierać postęp społeczny i poprawę warunków życia w większej wolności i w tym celu postępować tolerancyjnie, żyć z sobą w pokoju jak dobrzy sąsiedzi".

Najwyższym urzędnikiem Organizacji Narodów Zjednoczonych jest jej sekretarz generalny, otoczony międzynarodowym personelem. Personel ten ma być dobierany na zasadzie geograficznej równości. Zasada ta nie jest jednak realizowana. Na najwyższych stanowiskach w Sekretariacie Generalnym znajduje się 15 przedstawicieli mocarstw zachodnich, a tylko dwóch przedstawicieli krajów socjalistycznych. Udział przedstawicieli krajów afrykańskich nie zwiększył się, mimo że w okresie narodzin ONZ były tylko 4 niepodległe kraje Afryki, a teraz jest ich kilkanaście.

Ten anormalny stan decyduje o stanowisku ONZ i o realizowaniu przez Sekretariat Generalny nawet określonych decyzji Rady Bezpieczeństwa. Przykładem jest działalność sił ONZ na terenie Konga. Sekretarz Generalny ONZ potraktował legalny rząd kongijski premiera Lumumby w sposób, który rzuca cień na całą działalność ONZ. Hammarskjoeld działał w ten sposób w Kongo, jakby legalny rząd kongijski w ogóle nie istniał, co sprzyjało oczywiście prozachodnim watażkom typu Kasavubu, Mobutu, Czombe. Rada Bezpieczeństwa w swoich kolejnych uchwałach zalecała wycofanie wszystkich wojsk belgijskich z Konga, poszanowanie integralności terytorialnej Konga, opuszczenie przez Belgię Katangi oraz niemieszanie się przedstawicieli ONZ do czysto wewnętrznych spraw tego kraju. Żadnego z tych zaleceń

*(Dokończenie na str. 6)*

# Co czytają dyrektorzy?

*(Dokończenie ze str. 1)*

teatrach dramatycznych. Tylko jeden z dyrektorów — posiadacz szklanego ekranu (posiada je 4 dyrektorów i 1 pracownik fizyczny spośród 20 osób biorących udział w naszej ankietce) oświadczył, że w teatrze bywa, ponieważ „teatr to teatr". Uzasadnienie treściwe i — słuszne.

Robotnicy rówież tłumaczą swoją nieobecność w teatrze przede wszystkim brakiem czasu a ponadto... cenami biletów (czyż aż tak źle funkcjonuje kolportaż biletów ulgowych w łódzkich zakładach pracy?). Jednakże, jak już wspomnieliśmy, kilku z nich znajduje i czas i pieniądze na oglądanie operetek oraz filmów. W kinie, jak przyznawali, bywają prawie wszyscy, i o kinie mówią z entuzjazmem. Natomiast w niektórych odpowiedziach na temat teatru wyczuwało się niechęć. Były to odpowiedzi udzielane w tonie twardym i trochę opryskliwym. A brzmiały mniej więcej tak: „Do teatru nie chodzę już. I guzik to was obchodzi". (Może wchodzi tu w grę tradycyjnie uroczysty charakter teatru?).

Pytanie nr 1 wzbudzało jednak nie tylko niechęć. O ile u dyrektorów, przy udzielaniu na nie odpowiedzi wyczuwało się nutkę zażenowania (niektórzy tłumaczyli się momentem zaskoczenia, co jest dalibóg zgodne z prawdą), o tyle wśród pracowników, fizycznych, w znakomitej większości wypadków, wywołało ono panikę. Zagadnięci nerwowo i gwałtownie poszukiwali „zastępstwa", co udało się jednak tylko raz, kiedy to ratował sytuację aż przewodniczący rady zakładowej. Pozostałe dziewięć „ofiar" musiało pogodzić się z losem, który przypadł im w udziale.

I reakcje te są może w pewnym stopniu pocieszające. Świadczą one, że zarówno dyrektorów jak i ich pracowników dręczy nieco sumienie.

(2 osoby), względnie po 2 lub 3 konkretne tytuły, względnie ogólnie nazwiska autorów. Moment lektury wybiegał przeważnie daleko wstecz poza okres minionego roku. Wśród wymienionych tytułów znalazły się: „Młode lwy" i „Lucy Crown" Irwina Shawa (ta sama osoba) „Wojna żydowska" Feuchtwangera, „Potop", oraz „Droga przez mękę" A. Tołstoja i „Cichy Don" Szołochowa. Spośród czytywanych względnie lubianych autorów znaleźliśmy Reymonta, Tuwima, Kruczkowskiego i Hemingwaya.

Na 10 robotników 3 czytuje wyłącznie książki fachowe. Pozostali, zaliczający się do czytelników beletrystyki wymieniają: na pierwszym miejscu tzw. kryminały (3 osoby); 1 osoba podaje „Pana Tadeusza" i „coś" o Powstaniu Warszawskim (tytułu nie udało się dokładnie ustalić); również 1 osoba wymienia „Janka" Zapolskiej, ale jako pozycję jedyną i bardzo dawno czytaną. Przydomek „ulubionej książki" zyskała jedynie „Trylogia" oraz (u kobiet) „Dama Kameliowa". Natomiast „Chłopów" Reymonta zagadnięty określił, jako „dość dobre", z o wiele większym entuzjazmem mówiąc o ostatnio przeczytanym „kryminale" (strażnik ppoż.). Jako ulubionego autora, podano, prócz Sienkiewicza, również kilkakrotnie Kraszewskiego. Żadna jednak jego książka nie została konkretnie wymieniona.

Znacznie więcej pomysłowości, niż ich szefowie, wykazali pracownicy fizyczni w uzasadnieniu swego małego zainteresowania książką. Usłyszeliśmy więc i o dodatkowej, a aktywnie uprawianej pracy społecznej i o ciężkich, a niesprzyjających warunkach domowych, i wreszcie o konieczności zarabiania pieniędzy. Wszystko to jednak w sumie daje tę samą „dyrektorską" przyczynę — brak czasu.

## KSIĄŻKA — TWÓJ PRZYJACIEL!

Ten gazetowy slogan pozostał w wypadku naszej ankietki, niestety, tylko sloganem. Wprawdzie sytuacja na polu czytelnictwa ukształtowała się tu nieco lepiej, niż na teatralnym, ale...

Oto odpowiedzi dyrektorów na pytanie nr 2: Trzech stwierdza, że „nie ma czasu na czytanie" literatury pięknej; czytują wyłącznie pozycje fachowe. Pozostali (również, jako argumentu, używając brak czasu), wymienili po 1 tytule książki

## „PRZEKRÓJ" I DZIENNIKI GÓRĄ!

Jak wynikło z odpowiedzi na pytanie nr 3 naszej ankietki, zarówno wśród dyrektorów, jak i ich pracowników, największą poczytnością ze wszystkich tygodników cieszy się „Przekrój". Czytuje go regularnie 7 dyrektorów, 2 — czasem, 1 — wcale („za dużo tam piszą o Kowalskich") oraz 6 robotników (jednak nie wszyscy regularnie).

Na drugim miejscu pod względem poczytności uplasowała się „Przyjaźń", na trzecim — „Odgłosy". Czytuje je dwóch robotników i trzech dyrektorów; czwarty wyraził chęć powiększenia grona naszych czytelników (ze względu na ankietkę).

Poza tym dyrektorzy wymienili: „Politykę", „Świat", „Poznaj Świat" (po 2 osoby), „Kulisy", „Panoramę Śląską", „Panoramę Północy", „Krokodila", „Motor" „Skrzydlatą Polskę", „Przyjaciela Żołnierza", „Radio i Telewizję" oraz „Przyjaciółkę" (żona kupuje) — jednorazowo, 1 osoba wymieniła „Przegląd Kulturalny" i jedna — „Życie Literackie".

Pracownicy fizyczni dodali tu od siebie „Dookoła Świata" oraz „Twoje dziecko" i „Kobietę i Życie" (wiadomo — kobieta).

Łódzka prasa codzienna stanowi natomiast, jak się okazało „chleb powszedni" dla ogółu uczestników ankiety. Większość osób wymieniła jednocześnie wszystkie trzy tytuły łódzkich gazet, przy czym równowaga między nimi pod względem popularności została raczej zachowana (nie stwierdziliśmy przygniatającej przewagi „Expressu").

Dyrektorzy, poza gazetami łódzkimi wymieniali również często „Trybunę Ludu" i „Głos Pracy".

* * *

W związku z masowym czytelnictwem prasy codziennej nasuwa się nieodparcie myśl o nieograniczonym wprost zasięgu jej wpływów na życie kulturalne (jako, że ten wypadek nas tu konkretnie interesuje). Korzystając więc z okazji pozwolimy sobie zadać pytanie, czy łódzka prasa codzienna wpływy te w pełni i właśnie w sferze życia kulturalnego potrafi zużytkować? Czy wystarczą tutaj rzadkie i sporadyczne artykuły publicystyczne oraz recenzje książek, filmów, spektakli telewizyjnych i teatralnych? Sport w dwóch łódzkich gazetach wypełnia codziennie prawie kolumnę. Czy jest to właściwa proporcja? I czym jest ona uwarunkowana? Odpowiedź na te wszystkie pytania wymaga już odrębnego potraktowania.

KRYSTYNA WOJTASIK

GŁOS W DYSKUSJI · GŁOS W DYSKUSJI · GŁOS W DYSKUSJI ·

## Obyśmy wspólnie odetchnęli (IX)

# TYLKO „KANT" MOŻE NAS URATOWAĆ?

WŁADYSŁAW WIŚNIEWSKI

**Najpierw fragmenty autentycznych rozmów:**

**„Pani od rachunków" — „zadała" 13 „słupków" (w kl. IV) jak na jednorazową porcję dla 10-letniego dziecka weale, weale...**

**...„A nasza pani na święta kazała napisać 23 ćwiczenia. To mają być wakacje zimowe dla dzieci proszą pana?"...**

* * *

**W liceum — 36—38 godzin tygodniowo zajęć obowiązkowych, w wypadku jakichś występów (zespoły artystyczne, sportowe, wystawy) grubo więcej. A ile godzin pozostaje na „odrabianie" lekcji w domu? Śmiem twierdzić — dla ucznia średnio zdolnego — 5 do 6. A więc dwunastogodzinny dzień pracy? Tak! Normalnej, powszedniej pracy.**

**A tu przecież nie zawsze jest normalnie i powszednio. Bywa bowiem i tak:**

**„Moja córka (XI klasa) jest zdolną i ambitną dziewczynką. Nauczyciel fizyki „zadał" z lekcji na lekcję 8 (tak!) zadań. Na rozwiązanie jednego należy zużyć co najmniej 1 godzinę. Nauczyciel zdawał sobie z tego sprawę, ponieważ podobne zadanie w klasie ledwie ukończył w czasie jednej lekcji.**

**Jak się więc z tym uporała?**

**Dyktowałem jej rozwiązanie (sam jestem fizykiem) i dzięki temu w trzy godziny miała lekcję „odrobioną".**

**A reszta klasy? Żadna z dziewcząt nie fatygowała się. (I chyba słusznie, to było ponad ich siły). Zamawiały telefonicznie kolejkę w „ściąganiu". Naturalna samoobrona przed ostatecznym zadręczeniem?**

**A może w ten sposób chcemy wychować w przeświadczeniu, że tylko „kant" może nas uratować? Boć przecież i inni profesorowie nie odmawiają sobie przyjemności:**

**Geograf poleca czytać literaturę popularno-naukową w zakresie swojej specjalności. Podobnie — biolog.**

**Pod koniec okresu — klasówka o charakterze sprawozdania z lektury domowej.**

**W klasie nikt prawie niczego z tej lektury nie przeczytał.**

**Ale wypracowania są, a jakże! „Na szczytach Himalajów" — „Świat" nr 43 z r. 1961 lub „Uroki Lazurowego Wybrzeża" — „Poznaj Świat" nr 16 r. 1954. Wszystko to — fantazja! bujda!**

**Nadzieja, że profesor nie będzie owych artykułów szukał — nie zawiodła. Sypnęły się piątki i czwórki. Klasa odetchnęła.**

**Samoobrona czy cwaniactwo?**

**Podobnie bywa i z biologią.**

**„Mój syn prowadzi zeszyt do lektury z biologii, żżynając żywcem z zeszytu kolegi, który dwa lata temu szkołę ukończył. Komu, proszę pana, jest to ciągle pisanie, przerysowywanie potrzebne? Rozumiem jeszcze prowadzenie zeszytu do lektury z języka polskiego"... (A ja i tego nie bardzo rozumiem).**

**W szkołach zawodowych ze zrozumiałych względów jeszcze gorzej. Dochodzą warsztaty, a więc — produkcja! (Niestety, niestety! Jakże często „zawyżana" wbrew wszelkim zasadom dydaktycznym).**

**A w szkołach wyższych? (Zwłaszcza w technicznych) — tam to już „zajrzeć strasz-no".**

**— Syn mój ma 41 godzin zajęć tygodniowo (nie licząc wojska) a więc w pięciu dniach (!), rozrzuconych beztrosko przed i po południu.**

**Wraca po zajęciach wieczorem, by coś tam wykonać, czy przygotować się do egzaminu. Gdzież tu miejsce na rozrywkę, sport, spacer, lekturę własną? Mowa!**

**Mówi niedawny maturzysta:**

**— W szkole średniej właściwie nie uczono nas rysunku technicznego, a tu asystent kazał wykreślić w rysunku technicznym kafel Zwyczajny kafel z pieca. Nie nauczył oczywiście, jak to się robi. To do niego nie należy (?) Siedziałem w domu 3 godziny. Przynoszę mu rysunek. Te linie, proszę pana, należy poprowadzić aż do przecięcia się. Niech pan to poprawi.**

**Wykonałem drugi rysunek. — No już lepiej, ale, widzi pan, grubość tych oto linii musi być różna.**

**W trzecim rysunku też coś było nie tak jak trzeba.**

**Piąty rysunek — przyjął (z litości), bo też były pewne usterki.**

**Do pewnej wyższej uczelni dojeżdżał wybitny specjalista z Warszawy. Widocznie brakowało mu czasu i dlatego jednego dnia miał 8 godzin wykładów dla jednej grupy studentów.**

**Jaki umysł jest w stanie taką porcję skonsumować?**

**Nos dla tabakiery?**

**Nie będę mnożył przykładów. Każdy uczciwy, myślący nauczyciel (obojętne: szkoły podstawowej, średniej czy wyższej stwierdza, że wymagania, jakie stawiają swoim uczniom czy słuchaczom chcąc zrealizować program stają się jakimś koszmarnym nonsensem. Mówiono i pisano już zresztą o tym wielokroć! I — nic! Nic się nie zmienia. A skutki tego stanu odbijają się na pewno fatalnie na zdrowiu naszych dzieci i naszej młodzieży, na charakterze, na dużym odsiewie i drugoroczności które to zjawiska narastają wprost proporcjonalnie do stopnia nonsensowności wymagań szkoły: zło zaczyna się w klasach starszych szkoły podstawowej, wzrasta z każdą klasą w szkole średniej, osiągając punkt kulminacyjny w pierwszych latach studiów (zwłaszcza technicznych).**

**Dlaczego uważałem za stosowne pisać o tym właśnie teraz?**

**1) Po VII Plenum KC, w obliczu reformy szkolnej sprawa redukcji programów nauczania i ewentualnej rewizji siatki godzin odwlecze się znów na kilka lat. A moim skromnym zdaniem właśnie redukcji programów należy dokonać czym prędzej! Na szeroko i głęboko pomyślaną zmianę programów można jeszcze poczekać, z koniecznymi skreśleniami — nie podobna zwlekać.**

**2) W dyskusjach toczonych wokół reformy dużo uwagi, i słusznie poświęca się zagadnieniu doskonalenia kadr. Ale i tu rysuje się niebezpieczeństwo niedocenienia rozwoju tego, co najogólniej nazwać by można warsztatem pedagogicznym, czy mistrzostwem zawodowym.**

**Pewnie, wykształcenie ogólne, podstawy filozoficzne — rzecz ogromnej wagi ale pogłębienie wiadomości z dziedziny psychologii i unowocześnienie umiejętności dydaktycznych nauczycielstwa szkół wszystkich typów — to druga sprawa warunkująca sprawność i skuteczność pracy szkoły.**

**Mianowicie:**

**W pracy szkoły podstawowej w klasach I—IV uważam, że zarówno program nauczania jak i stosowane metody są, że tak powiem, zbyt infantylne. W tych klasach można z dziećmi zrobić więcej. Wydaje mi się, że autorzy programów i metodycy zapomnieli, że dziecko siedmioletnie początku XX w. i II-giej jego połowy to nie są takie same dzieci. Nasze siedmio, ośmiolatki obcują na co dzień z filmem, radiem, własną „prasą" i, coraz częściej z telewizją, rozwijają się pod względem intelektualnym znacznie szybciej. Pozatym, należałoby chyba bardziej zróżnicować dydaktyczne przygotowanie na uczycieli co najmniej inne dla klas I—II a inne dla klas III—IV.**

**Zarówno w szkole podstawowej jak i średniej trzeba usprawnić proces nauczania (właśnie nauczania a nie tylko — uczenia). W szkole dziecko powinno się nie tylko uczyć ale i nauczyć. (A jakże często, niestety, egzekwuje się tu tylko, „odpytuje" to, co było zadane".)**

**Niechby nauczyciele innych przedmiotów zechcieli pamiętać, że jeżeli dziewczyna czy chłopiec musi w domu pracować nad językami obcymi (bo tu przecież sama nauka w szkole nie wystarczy), musi coś tam pisać (no, a przede wszystkim — czytać!) i dla wprawy jakieś matematyczne zadania rozwiązywać, to chyba jak na pracę w domu, już wystarczy... Niechby pamiętali.**

**A w każdym razie między nauczycielami winno istnieć porozumienie, co do zadawanych prac do domu.**

**3) Szkoła wyższa wymagania swoje musi opierać na programie szkoły średniej. (Na I roku pewnego wydziału politechniki rozwiązywano zadanie z fizyki uwzględniając znajomość pewnych elementów matematyki wyższej, których nie ma przecież zupełnie w programie szkoły średniej.**

**Wiem, nie wolno samowolnie żadnemu nauczycielowi zmieniać programów nauczania, ale przecież — trzeba mówić i pisać o tym wszystkim coraz głośniej, coraz natarczywiej. Sprawa bowiem nabrzmiała już zbyt boleśnie. Jeżeli tak wszechstronnie dyskutujemy w „Odgłosach" sprawy wychowania młodzieży, pamiętajmy w pierwszym rzędzie o szkole.**

# Telewizorów coraz więcej...

**19 lutego 1955 roku Prezydium Rządu podjęło uchwałę o rozwoju telewizji w Polsce, a przemysł teletechniczny otrzymał zadanie uruchomienia krajowej produkcji odbiorników telewizyjnych. W roku 1956 wyprodukowano, a właściwie zmontowano 2.500 odbiorników „Wisła" w następnym 12.000 „Wisła" i 8.000 „Belwederów". W roku ubiegłym 60.000 odbiorników „Belweder-11" 20 000 „Belweder — 17" i 1.000 odbiorników projekcyjnych. W tym samym czasie uruchomiono produkcję nowych typów telewizorów a więc „Szmaragdów — 901", „Topazów" i „Waweli". „Wawel" jak wiadomo został szybko wycofany z handlu ze względu na usterki techniczne teraz zaś ma wrócić w liczbie 30.000 po dokonaniu pewnych udoskonaleń.**

**I jeszcze ta wiadomość, że w roku bieżącym Warszawską Fabrykę Telewizorów opuści 160 tys. odbiorników w tym, oprócz „Waweli" i 125 tys. „Szmaragdów" znajdzie się 5 tys. telewizorów zupełnie nowego typu o kącie odchylenia lampy kineskopowej — 110 stopni, przekątnej ekranu 17 cali, odbiorników nie dużych, zmontowanych na drukowanych podzespołach, o nie wielkich wymiarach i płaskiej skrzynce słowem — „Korali"**

**Te wszystkie dane świadczą o burzliwym rozwoju telewizji w Polsce. Od strony produkcji odbiorników i stale rosnącego na nie popytu zagadnienie wygląda oszałamiająco. Oto w roku 1965, a więc za cztery lata produkcja przemysłowa ma osiągnąć 440 tys. telewizorów w ciągu roku. Trzeba się jednak liczyć z tym że rynek się nasyca, że będziemy wypuszczać typy wciąż doskonalsze, że w końcu niemal wszystkie odbiorniki pracują i będą odbierać program. To daje wyobrażenie o telewizyjnej widowni. Nie dość na tym. Biura projektowe WFT opracowały już oryginalne polskie typy kamer studialnych, całych urządzeń do wyposażenia studiów, produkujemy też nadajniki i stacje przekaźnikowe. Telewizja wyprzedza w swym rozwoju wszystkie plany gdy idzie o rozbudowę strony technicznej i w stałym wzroście liczby odbiorców. Niestety rozwój ten nie idzie w parze ze stroną programową. Mówi się wprawdzie o konieczności wprowadzenia drugiego programu, telewizor „Koral" jest nawet przystosowany do jego odbioru, ale jak dotąd są poważne kłopoty z tym jednym który mamy i który oglądamy.**

**Wydaje się że nasze uwagi zamieszczone tu już nie raz w kontekście rozwoju produkcji odbiorników, wzrostu liczby stacji itd., nabierają nowego sensu. Mówiliśmy o koniecznej reorganizacji, przeglądzie kadr telewizji zdobyciu nowych i szkoleniu. Bez tego za dwa trzy lata grozi nam kompletny kryzys programowy. A liczba widzów wciąż rośnie!**

**Fot. W. MACHEJKO**

*Życzymy miłego oglądania... programu telewizyjnego*

*Taśma montażowa w Warszawskiej Fabryce Telewizorów*

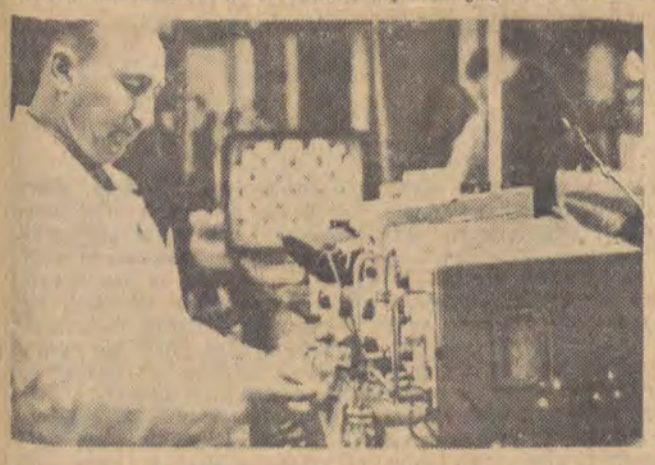

*Kontrola techniczna odbiorników*

*Pierwsze udoskonalone „Wawele" o ekranie 21 cali schodzą z taśmy montażowej*

TELE wizja

# PROGRAM na najbliższe dni

**9. III. 61. — CZWARTEK**

11.00 Program szkolny „Obiady czwartkowe" (W). 11.30 Przerwa. 17.00 Filatelistyka — program dla dzieci (K). 17.15 PKF (W). 17.30 „Szymon Kobyliński uczy rysować" program dla dzieci (W). 17.45 Program publicystyczny (L) lok. 18.00 Młodzieżowy Klub Telewizyjny (W). 18.30 Program muzyczny: 1) Rzadkie instrumenty muzyczne. 2) „Żarty i zagadki muzyczne" (W). 18.55 „Klaps" magazyn filmowy (L) ogólnopolski. 19.30 Dziennik telewizyjny (W). 20.10 „Kto tam" reportaż (W). 20.40 Teatr „Kobra" „Kobiety" widowisko sensac. wg Ireny Strzemińskiej (W). 21.30 Ostatnie wiadomości (W).

**10. III. 61. — PIĄTEK**

17.10 Transmisja z Klubu „Omega" program dla młodzieży (W). 18.00 „Ludzie z inicjatywą" program publicystyczny (W). 18.30 Wszechnica Telewizyjna „Wszechświat w którym żyjemy" program pt. „Ludzie i automaty" (W). 19.00 Dziennik telewizyjny (W). 19.30 „Dr. Knock, czyli triumf medycyny" transmisja z Teatru Współczesnego" (W). 21.20 Ostatnie wiadomości (W).

**11. III. 61. — SOBOTA**

11.00 Program dla szkół — geografia „A jednak się kręci" (W). 11.30 Przerwa. 17.00 Film z serii „Przygody sir Lancelota" — „Rycerz chlebowa skórka" (W). 17.30 Kurs samochodowy dla kierowców amatorów (W). 17.50 Program tygodnia (W). 18.05 Program tygodnia (L) lok. 18.15 „Paragraf i fajka" (W). 18.35 Film krótkometrażowy (W). 18.55 Rezerwa (W). 19.30 Dziennik telewizyjny (W). 20.00 Pegaz — magazyn kulturalny (W). 20.35 „Lekkodukcji odbiorników i stale rosnącego na nie popytu zagadnienie wygląda oszałamiająco. Oto w roku 1965, a więc za cztery lata produkcja przemysłowa ma osiągnąć 440 tys. telewizorów w ciągu roku. Trzeba się jednak liczyć z tym że rynek się nasyca, że będziemy wypuszczać typy wciąż doskonalsze, że w końcu niemal wszystkie odbiorniki pracują i będą odbierać program. To daje wyobrażenie o telewizyjnej widowni. Nie dość na tym. Biura projektowe WFT opracowały już oryginalne polskie typy kamer studialnych, całych urządzeń do wyposażenia studiów, produkujemy też nadajniki i stacje przekaźnikowe. Telewizja wyprzedza w swym rozwoju wszystkie plany gdy idzie o rozbudowę strony technicznej i w stałym wzroście liczby odbiorców. Niestety rozwój ten nie idzie w parze ze stroną programową. Mówi się wprawdzie o konieczności wprowadzenia drugiego programu, telewizor „Koral" jest nawet przystosowany do jego odbioru, ale jak dotąd są poważne kłopoty z tym jednym który mamy i który oglądamy.

Wydaje się że nasze uwagi zamieszczone tu już nie raz w kontekście rozwoju produkcji odbiorników, wzrostu liczby stacji itd., nabierają nowego sensu. Mówiliśmy o koniecznej reorganizacji, przeglądzie kadr telewizji zdobyciu nowych i szkoleniu. Bez tego za dwa trzy lata grozi nam kompletny kryzys programowy. A liczba widzów wciąż rośnie!

Fot. W. MACHEJKO

chy i dziewczęta" film fab. prod. radz. (W). 21.55 PKF (W). 22.05 Ostatnie wiadomości (W). 22.15 „Co kto lubi" program rozrywkowy (W).

**12. III. 61. — NIEDZIELA**

10.55 Poranek muzyki rozrywkowej. Transmisja z Lipska (K). 13.00 Przerwa. 13.55 Łódzka Kronika Filmowa (L) lok. 14.10 „Dzieje rodu Goobych" film z serii Disneyland (W). 15.00 Niedziela Biesiada (L) ogólnopol. 16.00 „Nuty i nutki" program rozrywkowy (W). 16.35 Film krótkometrażowy (L). lok. 17.00 Program dla dzieci (L) lok. 18.00 Mistrzostwa świata w hokeju na lodzie. Transmisja z Genewy lub Lozanny. Mecz Kanada—ZSRR (K). 20.45 PKF (W). 21.00 Film krótkometrażowy „Europa przez szybkę samochodu" produkcji polskiej (L). 21.15 Dziennik telewizyjny (W). 22.00 Wiadomości sportowe (W).

**Włodzimierz Kmicik konferansjer audycji „Co kto lubi".**

## Zaproponować nie wolno!?

# Droga *do* dubbingu

Pamiętamy jeszcze doskonale gromkie protesty, jakie wywołały wśród publiczności kinofilmy w polskiej wersji językowej, czyli inaczej mówiąc dubbingowane. Było w tym narzekaniu sporo racji — bo dubbing pierwszych filmów nie był najlepszy, poza tym pozbawiał widza możności słuchania głosu ulubionych aktorów.

Było też w tym sporo niechęci wynikającej z tradycjonalizmu. Teraz już jakoś narzekań na dubbing nie słychać. Może dlatego, że obok wersji polskich wyświetlane są wersje oryginalne z napisami, na pewno też dlatego, że jakość dubbingu wzrosła bardzo znacznie i dubbinguje się tylko te filmy, które naprawdę tego wymagają. Ale nikt z widzów kinowych nie napisał dotąd do żadnej redakcji listu z prośbą o dubbingowanie filmów. (Myślimy tu o publiczności miejskiej, której czytanie w ogóle nie sprawia większych trudności. Wieś zostawmy na boku). Natomiast wypływa ciekawy problem filmów w telewizji. Oto napisy na filmach zagranicznych są na małym ekranie nieczytelne, a przynajmniej wymagają oglądania obrazu z bliska, co znów jest niewygodne. Czytanie tekstu przez lektora jest rozwiązaniem bardzo połowicznym i nie zadowala telewidzów zubożając film. A zatem pozostaje dubbing.

Czy telewizja polska wpadła na ten pomysł? Owszem. Warszawskie studio dubbingowe opracowuje „spikerki" czyli tekst komentarzy czytanych przez lektorów. Na razie nic ponadto.

Dubbing proponował telewizji swe usługi na zasadach — jak nam przedstawiono w łódzkim studio — zupełnie do przyjęcia. Koszt opracowania polskiej wersji filmu o średniej obsadzie aktorskiej wynosi około 120 tys. złotych, co przy wielokrotnym powielaniu filmu w programie ośrodków regionalnych, a również możliwości odsprzedania go potem Centrali Wynajmu Filmów, nie jest sumą zbyt wygórowaną.

W końcu nie chodzi o ceny, a o sprawy czytelności i wartości artystycznej filmów wyświetlanych w TV. A zatem prosimy o dubbing.

(m)

## Idziemy naprzód!

# Eksperymentalny program telewizyjny dla szkół

**W czwartek 2 marca o godzinie 11 przemówienie wiceministra oświaty Ferdynanda Heroka zainaugurowało eksperymentalny program telewizyjny dla szkół. Eksperymentalny — ponieważ tytułem próby potrwa on przez trzy miesiące tj. przez marzec kwiecień i maj i obejmie 39 półgodzinnych programów lekcyjnych nadawanych w środy, czwartki i soboty.**

**W ubiegły czwartek program przeznaczony był dla klas V i VI szkół podstawowych, obejmował zaś inscenizację bajek Krasickiego, Trembeckiego i Fredry; w bieżącym tygodniu uczniowie obejrzą audycję z dziedziny fizyki zatytułowaną „Para nie para", inscenizowany program pt. „Obiady czwartkowe", w którym — jak słyszymy — wezmą udział wybitni aktorzy grający role Niemcewicza, Krasickiego, Zabłockiego, ba, nawet samego króla Stasia, wreszcie program geograficzny pt. „A jednak się kręci".**

**O szalonych korzyściach jakie może przynieść szkolny program telewizyjny — i to szczególnie dla szkół prowincjonalnych, pozbawionych często, gęsto odpowiednich pomocy naukowych — nikogo chyba przekonywać nie trzeba; rzecz polega raczej na samej realizacji, a o tej mówić jeszcze cokolwiek za wcześnie.**

**Będzie mogła telewizja pokazać uczniom rzeczy znane przez nich tylko z podręczników — silniki odrzutowe i maszyny parowe, mózgi elektronowe, skomplikowane procesy chemiczne chociażby z zakresu wielkiej syntezy i tak dalej i tak dalej. Będzie mogła na drodze inscenizacji zbliżyć wiele arcydzieł literatury narodowej i światowej do młodzieży, co więcej nauczyć ją jak poprawnie podaje się i interpretuje wiersz.**

**Rzecz jasna program telewizyjny ani teraz, ani później — od przyszłego roku szkolnego program ma bowiem zostać rozszerzony do pięciu godzin lekcyjnych w tygodniu — nie zastąpi i nie wyręczy nauczyciela; co najwyżej przyjdzie mu z pomocą. Ministerstwo Oświaty wspólnie z Redakcją Oświatową TV przygotowało specjalne broszury z programem lekcyjnym, wskazówkami metodycznymi i technicznymi — wyjaśniającymi w jaki sposób należy przygotować się do odebrania programu, a nawet jak należy prawidłowo obsługiwać telewizor — rzecz chyba nie bez znaczenia, biorąc pod uwagę jak prymitywnie zabieramy się nieraz do tej prostej na pozór czynności.**

**Program obejmować będzie sześć przedmiotów: język polski, historię, geografię, fizykę, biologię i chemię — został on oczywiście ściśle skoordynowany z programem szkolnym, przyczym poszczególne audycje obliczone są na jedną, bądź na całą grupę klas.**

**Szkopuł dopiero w tym, że nie tylko nie wszędzie jeszcze program telewizyjny możemy odbierać, nie tylko nie wszystkie szkoły posiadają telewizory, ale że jeszcze w wypadku licznych klas równoległych, nie wszyscy uczniowie będą po prostu mogli dojrzeć, co się na ekranie dzieje.**

**I tak do korzystania z eksperymentalnego programu telewizyjnego zgłosiło się w tej chwili 900 szkół z całej Polski, przy czym w czasie najbliższym odbierze go tylko szkół 720. Jak kształtują się te sprawy na terenie Łodzi i województwa dokładnie nie wiemy — w każdym bądź razie na terenie miasta telewizory posiada zaledwie 26 szkół (Bałuty — 8, Górna — 5, Śródmieście — 4, Polesie — 3, Widzew — 6), przy czym kuratorium nie umiało nas w tej chwili dokładnie poinformować, czy wszystkie szkoły posiadające telewizory w odpowiednim czasie podjęły apel telewizji i zaopatrzyły się w materiały pomocnicze, bez których korzystanie z programu w znacznej mierze traci swój sens.**

**Co do ostatniej sprawy — Warszawskie Zakłady Telewizyjne m. w. dwa lata temu rozpoczęły produkcję projekcyjnych aparatów telewizyjnych, tzn. takich, które mogły by rzutować obraz na dość duży ekran ścienny. Ze względu na małe zainteresowanie odbiorców i dość wysoki koszt produkcji nieseryjnej (50—60 tys. złotych) produkcja ta została zaniechana. Czy nie należałoby teraz do niej powrócić?**

**J. P.**

Redaguje Zespół ◇ Wydawca: Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka" ◇ Adres redakcji: Łódź, Piotrkowska 96 Tel. 244-70 ◇ Warunki prenumer.: miesięcznie zł 1,—, kwartalnie zł 12,— ◇ Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca ◇ Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy" Druk: RSW „Prasa" — Łódź, Żwirki 17 ◇ Zam. 623 III. L-4

# OPOWIEŚCI von HAGENA

*(Dalszy ciąg ze str. 1)*

odnawianej w 1790 roku katedry w Mexico-City...

Od tego czasu, jak mówiliśmy, naukowcy zdążyli się dowiedzieć o Aztekach wszystkiego już chyba, czego można było się dowiedzieć...

**DRUGI RÓŻ TRZCINY 1168**

Spójrzcie na wydrukowaną niżej mapkę. Zobaczycie na niej pasma gór, zamykające położony w środku płaskowyż. Życie rozwinęło się w Meksyku u wybrzeży morskich i w dolinach między ośnieżonymi szczytami; Pomiędzy wybrzeżem a dolinami rozciągały się puste przestrzenie, niezamieszkałe z powodu zimna i braku wody. Trzy dni wśród pragnienia i głodu wędrowały przez te pustynie oddziały Corteza.

A w dolinach meksykańskich rodziły się kolejno wielkie cywilizacje; to tam Toltekowie zbudowali swoje kolosalne miasto w Teotihuacan i stworzyli kulturę Tula. Bogate ziemie, leżące na wysokości nie mniejszej niż 2,500 metrów, pozwalały rozwijać również bogate uprawy: słone jeziora dostarczały soli, skały zaś — kamienia, który tym nie znającym żelaza plemionom służyć musiał i za budulec i za tworzywo do produkcji broni czy narzędzi kuchennych...

Aztekowie podobnie jak Inkowie w Peru, przybyli do swych siedzib z surowych chłodniejszych terenów. Kiedy już ostatecznie ukształtowali się jako plemię, około roku 1200, najlepsze ziemie były dawno zajęte. Nazywali się „Tenocha"; byli potomkami plemion północnych. W poszukiwaniu swojej Ziemi Obiecanej przebiegali krainy różnych ludów, które otwierały im wolną drogę, bądź jej nie otwierały, a wtedy prący naprzód Aztekowie z bronią w ręku wyrąbywali sobie przejście. Była to klasyczna „wędrówka ludów" w indiańskim wydaniu.

Do jezior dolin Anahuak dotarli w Drugim Roku Trzciny wedle ich kalendarza, w Ome-Akatl. Według naszej rachuby był to rok 1168. Tu, w dolinie Anahuak mieli stworzyć swoje przyszłe „imperium".

**MIASTO Z BAŚNI**

Tak więc w 1168, którą to datę w pełni zaakceptowali historycy, Tenochowie przybyli z północnego zachodu do doliny Anahuak. Nie posiadający ziemi, pozbawieni przyjaciół, niemile widziani przez siadłe nad jeziorami plemiona, zawsze gotowi ofiarować bogom ludzkie serca, tworzyli mały szczep, złożony z kilku klanów i przepędzani z jednego zamieszkałego już regionu do drugiego — bo przecież z reguły byli słabsi od tych, których nachodzili w swoich wędrówkach — wybrali w końcu kilka wysepek o dwie mile od brzegu jeziora Texkoko i tam, dzierżąc przed sobą wizerunki swojego bóstwa, zaczęli w 1325 roku budować swoje państwo-miasto.

W ciągu dwustu lat zawładnęli Meksykiem; Tenochtitlan, „miejsce Tenochów" został najbardziej okazałym miastem, jakie zbudowali rodzimi mieszkańcy Ameryki.

Hiszpanie, którzy zjawili się tutaj, by nazwami nowych dziedzin wzbogacić listę tytułów Króla-Cesarza,

miłościwie panującego Hiszpanii Karola V, napotkali „8 listopada 1519 roku wielkie miasto Tenochtitlan, Meksyk".

— Spoglądając na ten wspaniały widok — pisał Bernal Diaz po piędziesięciu latach — nie wiedzieliśmy, co powiedzieć i czy aby obraz ten jest prawdziwy"... Hiszpanie posuwali się naprzód wzdłuż „grobli... szerokiej na osiem kroków", która biegła „dwie mile wgłąb jeziora od brzegu do miasta... tak zatłoczona ludźmi, że ledwo się mieścili na niej... świątynie pełne były ludzi... i łodzie płynęły ku nam ze wszystkich stron jeziora".

Kiedy znaleźli się już blisko wjazdu do miasta, zjawił się przed nimi sam „wielki Montezuma, który wysiadł ze swej lektyki" i podtrzymywany przez innych, szedł ku Hiszpanom" pod cudownie bogatym baldachimem z zielonych piór, ze złotym i srebrnym haftem, z perłami i diamentami, zwisającymi u brzegów, co było widokiem wprost niebywałym Wielki Montezuma był bogato odziany... wielu innych panów szło przed nim, zamiatając ziemię tam gdzie miał stąpnąć i rozpościerając sukienny chodnik".

Wszedłszy do miasta, Hiszpanie oczom uwierzyć nie mogli. Bernal Diaz wspomina, że „nie był w stanie zrachować ciżby mężczyzn, kobiet i chłopców na ulicach... w łodziach na kanałach... którzy wyszli z domów, żeby nas zobaczyć. To było tak wspaniałe, że dziś, kiedy piszę (a miał wtedy przecież lat 84) mam ten obraz przed oczyma jak gdyby zdarzyło się to wczoraj".

Po małym odpoczynku, Hiszpanie złożyli wizytę Uei Tlatoani — „Pierwszemu Wodzowi", Montezumie, w jego własnych ogromnych kwaterach. Montezuma żył wśród lukullańskiego przepychu. „Oni przygotowywali więcej niż trzysta talerzy posiłku, kiedy Montezuma zamierzał jeść... ale jaka tam była różnorodność potraw... widziałem ich tyle, że chyba nigdy bym nie skończył ich wyliczać... Cztery bardzo piękne kobiety przynosiły wodę, by umył ręce... inne przynosiły mu ciasto tortilla... podawano mu wszystko na cennej gliniarej zastawie z Cholula... Od czasu do czasu w czarach ze złota podawano mu napój czekoladowy..."

Bernal Diaz towarzyszył później Cortezowi, kiedy Montezuma prezentował mu stan posiadania swego państwa. Ujrzeli składy pełne przeróżnych towarów, które napływały do skarbu z tytułu danin i podatków. Widzieli rejestry sporządzone z papieru amatl, którego to papieru zapasy cały zajmowały budynek. Widzieli miecze z kamiennymi ostrzami, które cięły lepiej niż ich własne... Montezuma pokazał im królewska ptaszarnię, gdzie każdy z niezliczonej ilości okazów dostawał pożywienie z rąk obsługi, składającej się z dwustu kobiet i mężczyzn. Montezuma zgromadził też wszelkiego rodzaju rzemieślników, jacy pracowali na terenie azteckich posiadłości, a twórczość jego złotników podziwiali najwięksi złotnicy Hiszpanii, kiedy Cortez przysłał ich dzieła do kraju...

Nad czterema publicznymi targami górował wielki plac targowy w Tlaltelolko, w północnej części miasta, gdzie wśród tłoku handlowano wszystkim — od wyrobów jubilerskich i niewolników indiańskich aż do słodyczy, tkanin i drogich skór, przy czym każdy rodzaj towaru miał swoje określone stałe miejsce na placu...

„Zaprawdę, Panie mój — pisał Cortez w swych listach — zaprawdę, Panie mój.... to wielkie miasto Tenochtitlan... zbudowane na środku słonego jeziora, dwie mile od brzegu... połączone z nim czterema groblami... szerokimi na dwanaście stóp... to miasto jest tak duże jak Sewilla lub Kordowa... i co tu dużo mówić, jest tak duże, że nie jestem w stanie dokładnie określić, jak daleko rozciąga się panowanie Moctezumy..."

Wszystko to, bliskie raczej baśniom z tysiąca i jednej nocy niż opisom geograficznym, w pełni jednak potwierdzone dziś przez archeologię, nie zrodziło się przypadkowo; tajemnica tego rozkwitu i wspaniałości kryje się w dziejach, które poprzedziły rok 1519...

DCN.

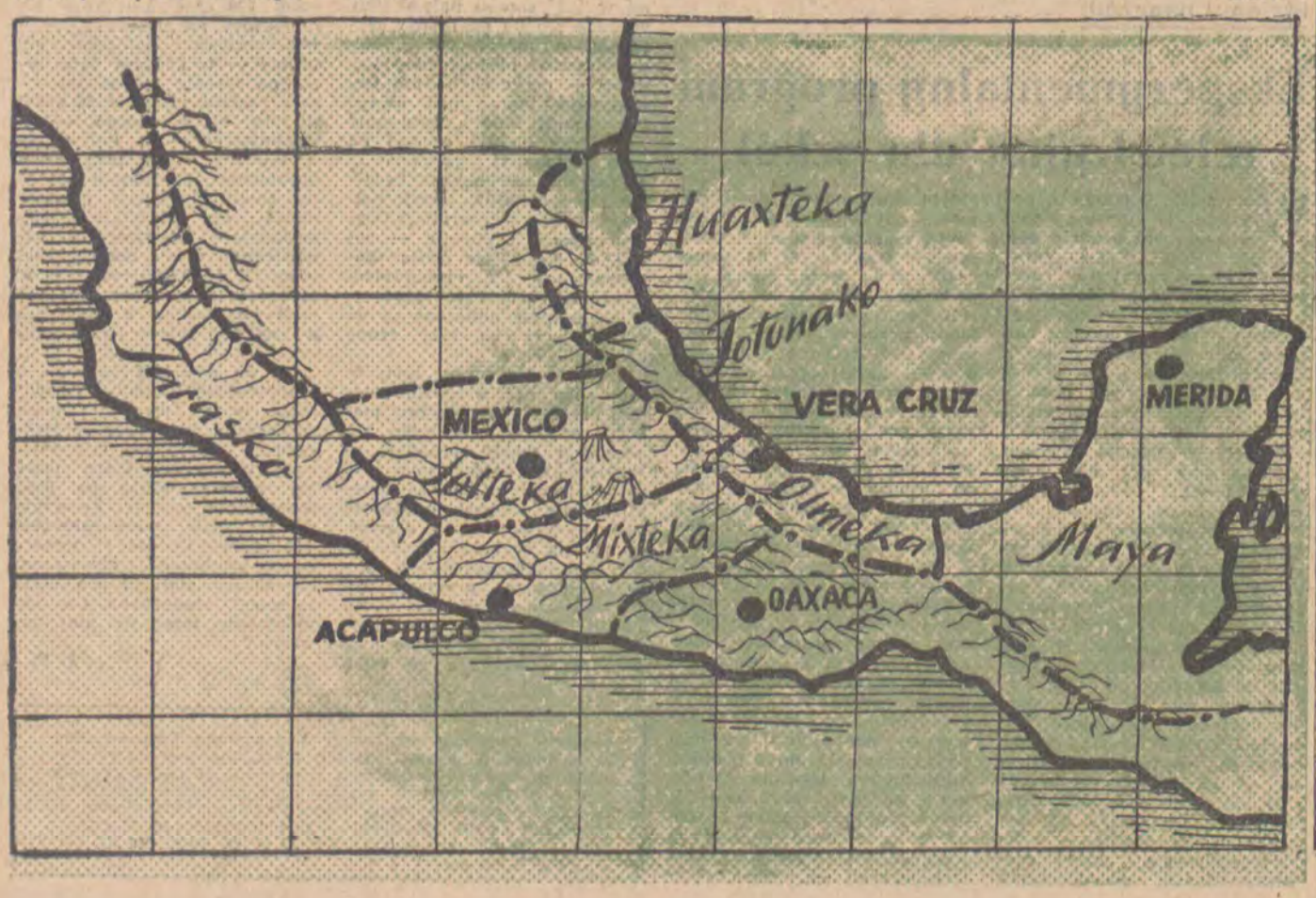

**Pisaliśmy w ostatnim felietonie o nierozstrzygniętych jeszcze przez naukę problemach tzw. jasnowidzenia z pobliża bez użycia oczu. O podobnych lecz jeszcze bardziej zdumiewających sprawach pisze wspomniany już kiedyś na tym miejscu lekarz niemiecki Gustaw Stutzer: „Znanym jest fakt, że Goethe w swoim domku ogrodowym w Weimarze odczuł trzęsienie ziemi w Messynie, które nawiedziło to miasto w roku 1823 i zakomunikował o nim w dniu i godzinie wypadku".**

**Mamy tu więc do czynienia z przedziwnym, a nader rzadkim darem tzw. jasnowidzenia przestrzennego. Goethe odczuł tak samo dalekie trzęsienie ziemi jak obecnie odczuwają je niezwykle czułe aparaty sejsmograficzne. Ten wypadek można więc jeszcze od biedy sklasyfikować w ogólnie przyjętych normach naukowych. Chociaż takie jasnowidzenie zarówno dawniej jak i dziś jest z pewnością dla wielu czarną magią wysokiej próby.**

**Angielskie towarzystwo badające od lat zjawiska psychiczne („Socjety for psychical research") w swoich przebogatych archiwach ma między innymi zanotowany taki oto wypadek: „Pewna Angielka kazała raptem wezwać do siebie swego lekarza domowego. Lekarz znajduje cała rodzinę zgromadzoną dookoła owej damy, która w najwyższym wzburzeniu powtarza raz za razem: „Widzę swoją córkę w płomieniach, jej pokój się pali, korytarz w płomieniach" Ale po chwili woła: „O, wybijają okno od zewnątrz chwała Bogu uratowana!". Jej córka była zamężną i mieszkała w jednym z miast Ameryki Północnej".**

**Lekarz biorąc zachowanie się owej damy za oczywiste objawy histerii czy może nawet obłędu przepisuje środki uspokajające. Natomiast mąż biegnie na pocztę, telegrafuje i... po kilku godzinach istotnie uratowana z płomieni córka telegraficznie potwierdza wizję matki.**

**To już są sprawy naprawdę tajemnicze. Niestety, niżej podpisanemu nie udało się dotrzeć do nowszych prac naukowych czy choćby popularno-naukowych traktujących o tego typu zjawiskach. Prawdopodobnie dlatego, że prac takich na razie nie ma. Wiadomo co prawda, że grupa polskich lekarzy i fizyków studiuje zagadnienie telepatii, ale i te sprawy otaczane są przez samych badaczy tajemnicą. Rzecz bowiem w tym, że w dalszym ciągu badanie spraw trącących czarną magią uważane jest za szarlatanerię. A przecież prototyp epidiaskopu (dzisiejszej poczciwej pomocy szkolnej) służył kiedyś Twardowskiemu do czarnoksięskich magicznych spektakli. Dawniej zwykła lupa była czarodziejskim, szatańskim przyrządem, dziś nie jest nim nawet mikroskop elektronowy. A jasnowidztwo? No cóż, to jest bez wątpienia na razie tajemnica.**

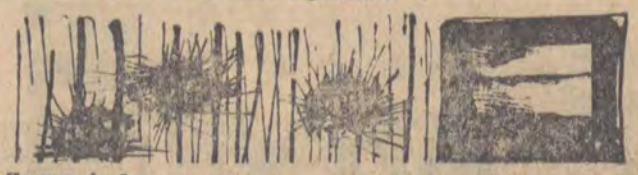

**Znany badacz problemów jasnowidztwa dr Loewenfeld próbował (a były to pierwsze lata XX wieku) jakoś zagadnienie wyjaśnić: „Na razie musimy zadowolić się stwierdzeniem faktu, że widzenie na odległość jest istotną, chociaż dotychczas nie wyjaśnioną zdolnością mózgu. Tyle tylko powiedzieć możemy, że bezpośrednie oddziaływanie na zmysły jest wykluczone ,czyli, że musi tu chodzić o bezpośrednie oddziaływanie na mózg".**

**Wiedeński lekarz chorób nerwowych dr Steckel tak pisze w swej książce „Wymowa snów": „Matka moja obudziła się pewnego ranka i rzekła — śniło mi się dzisiaj o wuju J. Może z dziesięć lat nie myślałam o nim i oto śniło mi się, że umarł. Kto opisze nasze zdumienie, gdy niebawem otrzymaliśmy z Triestu list potwierdzający matczyny sen. Umarł tej nocy, której matka śniła o nim. Być może, iż myślał o matce".**

**„Myślał o matce". Chodzi więc o pracę mózgu. „Nie wyjaśniona zdolność mózgu" jak powiedział dr Loewenfeld. Tylko to wszystko i tak czarną magią pozostaje. Cóż bowiem ludzie wiedzą o ludzkim mózgu? Niewiele. Przypomina się więc pełne ironii stwierdzenie: rzeczy, których nie rozumiemy, objaśniamy przy pomocy rzeczy, które rozumiemy jeszcze mniej. Ano tak. Na razie jest to niestety prawda.**

**J. W.**

RYSZARD DOROBA

# „Marysia i krasnoludki"

Najmłodsi widzowie — owa liczna rzesza przyszłych kinomanów — nie mieli dotychczas szczęścia do rodzinnej twórczości filmowej. Wprawdzie ostatnio powstało kilka filmów dla młodzieży, bądź o młodzieży, (filmy Kaniewskiej i Nasfetera), ale „nasi milusińscy" mogli oglądać tylko krótkometrażówki rysunkowe lub lalkowe polskiej produkcji.

Dopiero wchodzący wkrótce na ekrany pełnometrażowy film fabularny „Marysia i krasnoludki" stał się w naszej kinematografii zjawiskiem bez precedensu, jest to bowiem film adresowany do dzieci najmłodszych i wprowadzający na ekran — obok żywego aktora — także i lalkę.

To wykorzystanie w filmie fabularnym zdobyczy filmu animowanego uznać należy za pomysł szczęśliwy. Zaludnienie świata rzeczywistości filmowej światem lalek — krasnoludków jest chwytem przydatnym w ekranizowaniu baśni, a artystyczna koegzystencja obu tych światów powinna stanowić warunek nieodzowny filmu — baśni.

„Marysia i krasnoludki" nie spełnia jednak tego warunku w sposób doskonały, za co w głównej mierze winę ponosi adaptacja popularnej książki Marii Konopnickiej. Przygody uczonego Koszałka — Opałka, który wyruszył na poszukiwanie wiosny i znalazł się wśród ludzi, wpływając na ich losy (on to bowiem przyczynił się do utraty przez Marysię gąsek) oraz jego krasnoludkowego króla udającego się w ślad za swym uczonym, sprowadzono do szeregu epizodów. Narracja filmowa nie zespoliła ich w jednolitą całość dramaturgiczną z perypetiami Marysi, ciągle dokądś wędrującej w poszukiwaniu gąsek. Nie zostały również w pełni wykorzystane możliwości dowcipnego rozegrania sytuacji, wynikających z zetknięcia dwóch różniących się strukturalnie i charakterologicznie światów — ludzi żywych i animowanych marionetek. Także tempo akcji zostało zwolnione ponad dopuszczalną miarę.

Te mankamenty dramaturgii filmowej wpłyną w poważnym stopniu na utrudnienie percepcji filmu przez młodocianego widza. Gdyby nie one, film miałby szanse podbicia dziecięcej widowni, gdyż pozostałe jego elementy — kolorowe zdjęcia sielskich pejzaży i uroczych zwierząt, udane plastycznie postaci krasnoludków (choć technika poruszania marionetek daleka jest od perfekcji), dobra gra aktorów (Wojciech Siemion w roli Skrobka) i melodyjna muzyka — stanęły na wysokości zadania.

Dlatego przewidywać należy, że zalety filmu przeważą jego braki i film będzie miał — zważywszy na wysoki w naszym kraju przyrost naturalny — dobrą frekwencję, co niewątpliwie powinno zdopingować polskich twórców filmowych do podjęcia podobnej tematyki. Zasada tantiemizacji dzieł filmowych okaże się pewnie instrumentem skutecznym.

Wypada jeszcze wyrazić przypuszczenie, że przyszli realizatorzy filmów znajdą scenariusze u współcześnie żyjących, tak wielu przecież, pisarzy dla dzieci, i nie będą zmuszeni do sięgania coraz to głębiej w historię literatury polskiej (Makuszyński, Konopnicka), bo — jeśli dalej w tym kierunku odbywać się będzie ekranizacja — wkrótce oglądać będziemy filmy dla dzieci stanowiące adaptację kronik Galla Anonima.

# Co nowego w WFO?

*W bieżącym roku wejdą do produkcji dwa filmy tematycznie związane z naszym miastem. Zrealizowany zostanie film o zbiorach i działalności otwartego jesienią ub. roku Muzeum Ruchu Robotniczego w Łodzi. Scenariusz do tego filmu piszą red. Edward Szuster i reż. Jerzy Gabryelski.*

*„Łódzka niedziela" będzie pierwszym filmem z cyklu „W niedzielę za miasto" poruszającym problem wycieczek niedzielnych, organizacji świątecznego wypoczynku.*

*O jednym z najpiękniejszych miast naszych Ziem Zachodnich — Opolu, powstanie barwny film ukazujący przeszłość tego miasta, jego polskość, dzisiejszą rozbudowę. „Filmowym bohaterem" stanie się również Koszalin i jego okolice. Sprawy naszych inwestycji przemysłowych znajdą swoje odbicie m.in. w filmie o polsko czechosłowackiej współpracy gospodarczej. Film ten realizowany będzie wspólnie z Wytwórnią Filmów w Bratysławie.*

*Pracę Fabryki Kotłów w Raciborzu produkującej gigantyczne urządzenia produkcyjne ukaże film pod roboczym tytułem — „Racibórz pracuje dla Turoszowa".*

A. N.

# „Martwe dusze"

Sztuka filmowa, nie znosi organicznie teatralności w inscenizacji, reżyserii, grze aktorskiej. Po obejrzeniu szerokoekranowego filmu reż. Leonida Trauberga dochodzimy bez trudu do takiego wniosku.

Filmowe „Martwe dusze" są przede wszystkim dokumentem teatralnej adaptacji dzieła prozatorskiego Mikołaja Gogola. Adaptacja Moskiewskiego Teatru Akademickiego jest wierna klimatowi utworu literackiego pełnego pasji, ironii, szeregu kapitalnych typów ludzkich z carskiej prowincji. Jest ona niewątpliwie tak samo potrzebna i użyteczna jak słynna już adaptacja tołstojowskiej „Wojny i pokoju" napisana dla teatru przez Piscatora.

Dzięki filmowi reż. Trauberga dociera do szerokich kręgów widzów jedno z przedstawień teatru, o którego wysokim poziomie artystycznym szeroko mówi się i pisze poza granicami Związku Radzieckiego. Moskiewski MCHAT grupuje wielu znakomitych aktorów. O ich klasie aktorskiej można się przekonać oglądając m. in. film umożliwiający, (czego nie ma w sali teatralnej) zbliżenia twarzy aktorów, detali. Warto podpatrzeć grę takich aktorów jak: Bielokurow, Liwanow, Gribows, Zujewa.

Oczywiście, że sfilmowane przedstawienie teatralne (nawet w celowo dla filmu wprowadzonym plenerem) może nużyć i być dla tzw. przeciętnego widza monotonne. Toteż trzeba trochę uzbroić się w cierpliwość i zadać sobie trochę trudu a przede wszystkim spojrzeć na ten film tak, jak się ogląda przedstawienie teatralne, któremu sztuka filmowa użyczyła swych tworzyw — taśmy i sprzętu technicznego.

A. NIEŚMIAŁEK

# EKRANIK

10 LUTEGO — w 63 rocznicę urodzin Bertolda Brechta, odbyła się oczekiwana od dawna premiera filmu, według słynnej sztuki tego pisarza „Mutter Courage". Realizację filmu podjęto przed paru laty, miała to być dość swobodna adaptacja dramatu Brechta, kręcona w większości w autentycznym plenerze, rozbudowana sytuacyjnie, etc. Ostatecznie jednak — końcowa wersja stała się sfilmowanym przedstawieniem teatru „Berliner Ensemble", z Heleną Weigel, Angeliką Hurwicz i Ernestem Buschem w głównych rolach. Świetny spektakl „Matki Courage" w wykonaniu berlińskiego zespołu widzieliśmy przed pięcioma laty w Łodzi.

JERZY GRUZA — znany reżyser telewizyjny, prawdopodobnie już w bieżącym roku zadebiutuje w filmie fabularnym. Wspólnie z Andrzejem Nowickim napisał Gruza scenariusz komedii pt. „Dymek z papierosa". Film ma zostać zrealizowany w zespole „Rytm", który od kilku lat niejako specjalizuje się w komediach.

ROGER VADIM — jak twierdzi z przekąsem krytyka francuska zdobywa ostatnio rozgłos nie tyle dzięki osobistym talentom (reżyser ten robi coraz słabsze filmy), ile z powodu wybitnej umiejętności wywoływania skandali. Po głośnej aferze z filmem „Cugle", przy którym Vadim dosłownie odebrał realizację młodemu reżyserowi, były mąż BB zapowiada nowy skandal: nakręcenie filmu biograficznego o markizie de Sade pt. „Zboczenie i prawda". Jak wiadomo — właśnie z nazwiska sławetnego markiza narodził się termin „sadyzm"...

RADA REPERTUAROWA — nareszcie — bo po sześciu latach od chwili wyprodukowania zdecydowała się zakupić znakomity film włoski „Romeo i Julia" reżyserii Renato Castellaniego (autor „Nadziei za dwa grosze" i „Piekło w mieście"). Niżej podpisany widział ten film przed kilku laty i uważa go za jedną z najlepszych adaptacji Szekspira jaką kiedykolwiek nakręcono.

DONALD

Ogromny sukces „Siedmiu samurajów" skłonił amerykańskich producentów do zakupienia scenariusza tego filmu, w którym dostrzeżono cechy doskonałego westernu. Tak powstał film J. Sturgesa „The magnificat seven" (Siedmiu wspaniałych). Akcja, zachowując dosyć wiernie linię dramatyczną „7 samurajów" (chłop) prześladowani przez bandę przestępców sprowadzają siedmiu najemników, którzy po wielu perypetiach uwalniają mieszkańców wioski od groźby gwałtów i napadów) przeniesiona została do Meksyku. Szable samurajów zamieniono na colty i noże. Wodza najemników gra sam Yul Brynner, a przywódcę bandy Horst Bucholtz.

# Ze świata filmu

Już w maju br. rozpoczną się prawdopodobnie pierwsze zdjęcia do nowej ekranowej wersji „Damy Kameliowej". Reżyseruje Marcel Carne. W roli Małgorzaty Gautier wystąpi Anouk Aimee („Montparnasse 19", „Każdy może mnie zabić").

Na ekrany Paryża wchodzi właśnie oczekiwany z ogromnym zaintere sowaniem przez krytykę i publiczność, nowy film twórcy „Hiroszimy, mojej miłości". Alain Resnais pt. „L'annee derniere a Marienbad" (Ubiegłego roku w Marianskich Łaźniach), oparty na scenariuszu głośnego przedstawiciela „antypowieści" Alain Robbe-Grillet'a. Możliwości sztuki filmowej do tego stopnia zafascynowały pisarza, że postanowił chwilowo rzucić pióro i stanąć za kamerą. Już w najbliższej przyszłości rozpocznie on realizację filmu wg własnego scenariusza pt. „Psy".

Jeszcze jedna, tym razem zmodernizowana wersja nieśmiertelnej „Damy Kameliowej", czyli „Idź nago w świat" amerykańskiego reżysera Ronalda Dongalla. Rzecz dzieje się w San Francisco. Giuletta (Gina Lollobrigida) jest głośną kurtyzaną tego czcigodnego grodu. Pewnego dnia poznaje czarującego syna (A. Franciosa) wielkiego fabrykanta (E. Borgnine, znany z filmu „Marty"). Wielka miłość. Młodzieniec z ust własnego ojca dowiaduje się o profesji bogdanki. Wielka awantura. Ale uczucie zwycięża. Niestety, wszechmocna ręka ojca w postaci policji obyczajowej dosięga nieszczęsnych kochanków nawet poza granicami miasta. Giuletta topi się w morzu chcąc uwolnić kochanka od swej osoby i odkupić własne winy. Koniec. Publiczność lka.

Niezwykle płodny ostatnimi czasy Claude Autan-Lara kręci obecnie barwny żart historyczny „Vive Henri, vive l'amour" (Niech żyje Henryk IV, niech żyje miłość). Film radykalnie odbrązawia postać zasłużonego dla dziejów Francji monarchy, kreśląc dzieje romansu blisko 60-letniego Henryka IV z młodziutką księżniczką Montmorency (Danièle Gaubert). Król ginie z ręki zamachowca po to, by jego kochanka mogła nareszcie z czystym sumieniem znaleźć się w ramionach własnego męża, księcia Condé. Umarł kochanek, niech żyje mąż! Na dworze Henryka (Francis Claude) błyszczy plejada najświetniejszych gwiazd ekranu: D. Darrieux, M. Mercouri, De Sica, P. Brasseur, J. Sorel i inni.

odgłosy nr. 3

JULIAN BRYSZ

# 10 SPRAW WIELKICH I MAŁYCH

*Suplement do artykułu „Ludzie uskrzydlonego koła" zamieszczonego w poprzednim numerze.*

I.

Tramwaje kursują na zasadzie rozkładu jazdy, podobnie jak koleje. Każdy wagon ma „przydział" do określonego pociągu, figurującego w rozkładzie i oznaczonego numerem.

Natomiast obsługa pociągu zmienia się codziennie. Na różnych trasach różne bywają warunki pracy, chodzi więc o sprawiedliwy rozdział obowiązków. W ten sposób motorniczy przechodzi po kolei wszystkie pociągi a konduktor wszystkie wagony.

2.

Konduktorzy twierdzą, że najłatwiejsza i najprzyjemniejsza jest praca w wagonie silnikowym. Choćby dlatego, że pasażerowie wsiadają tylko jednym wejściem. Poza tym utarg z pierwszego wagonu jest zawsze większy. Na „dobrych" trasach wynosi w dzień powszedni do 300 złotych, w niedzielę — do 500. Natomiast z wagonu doczepnego nigdy nie przekracza 200 złotych.

Trudno powiedzieć, dlaczego ludzie zawsze szturmują pierwsze wagony. Podobno nie trzęsie w nich i nie kołysze. Bardziej to chyba jednak „kwestia przyzwyczajenia". Wyjątek stanowi „ósemka" w dzień targowy. Jadące z dworca na targ handlarki zwykle wybierają wagon doczepny, choćby w pierwszym było luźno.

3.

Jeśli chodzi o ustępowanie miejsca starszym ludziom. W Łodzi — po staremu. Triumfuje niezawodna metoda „studiowania" krajobrazu.

4.

Do roku 1927 tramwaje miały własną elektrownię, później zaczęto czerpać prąd z sieci miejskiej. Elektrownię przekształcono na podstację, przetwarzającą „normalny" prąd zmienny na prąd stały. Do roku 1939 zbudowano jeszcze pięć dodatkowych podstacji a po wojnie — dalszych 10. Jednak owa najstarsza i mocno już sfatygowana podstacja przy Tramwajowej w dalszym ciągu spełnia rolę zasadniczą, pokrywając 53% zapotrzebowania na energię. W przyszłym roku, dzięki ukończeniu budowy dwóch kolejnych podstacji, „staruszka" zostanie na dobre odciążona, a prądu starczy na ogrzewanie tramwajów miejskich.

5.

Aktualnie w służbie ruchu pracuje 721 kobiet, wśród nich 12 na stanowisku motorniczych. Dają sobie radę nie gorzej niż mężczyźni, a dyrekcja nie ma powodów do narzekań, choć np. w Warszawie wycofano ostatnio wszystkie kobiety — motorniczych.

6.

Wśród pasażerów panuje nieuzasadnione przekonanie, że w czasie burzy piorun najłatwiej trafia w tramwaj. Nic podobnego! Po wojnie, odnotowano tylko jeden taki przypadek (na pl. Wolności), zresztą pasażerom nic się nie stało, ponieważ każdy wagon jest odpowiednio zabezpieczony.

7.

Ostatnio poważnie zmniejszyła się liczba amatorów skakania do tramwajów. Punkty „newralgiczne" pozostały jeszcze na rogu Zachodniej i Ogrodowej oraz przed krańcówką na Retkini, gdzie tramwaje wyraźnie zwalniają, a nie ma przystanków.

Jak twierdzą konduktorzy, szczególnie niebezpieczny jest „skok na bańce". Najczęściej kończy się jeśli nie tragedią to upadkiem. Nie pijcie przed podróżą.

8.

By starać się o przyjęcie na kurs motorniczych, trzeba mieć za sobą rok pracy konduktorskiej i odpowiednie zdolności, sprawdzane w drodze badań psychotechnicznych. Po pięciu latach pracy w charakterze motorniczego można awansować na kontrolera. Praktycznie jednak droga do awansu jest dłuższa.

9.

Na cele bezpieczeństwa i higieny pracy wydatkuje się w MPK rocznie 4 do 5 milionów złotych. Z roku na rok spada też ilość wypadków w ruchu i na zapleczu. Inne wymowne dowody tramwajarskiej troski o człowieka to tygodniowy żłobek, dom wypoczynkowy dla dzieci (a w miesiącach „przestoju" także dla pracowników) w Kolumnie pod Łodzią, itp.

10.

Do roku 1975 wszystkie torowiska tramwajowe (z wyjątkiem ul. Narutowicza) w Łodzi zostaną wydzielone, tak jak obecnie w Alejach Kościuszki. Zbuduje się wiele nowych tras — na ul. Przędzalnianej, Kopcińskiego, Żeromskiego do Pabianickiej i dalej wokół Chojen przez Katowicką, Rzgowską do Kilińskiego. Najciekawszą inwestycją będzie chyba arteria szybkobieżna trasą dzisiejszej ul. Towarowej, którą pobiegnie pośpieszna linia Pabianice — Zgierz



HENRYK PAWLAK

# Wszystko dobrze — tylko organizacji brak

Nazywa się to gromko eksperymentem skierniewickim. A w gruncie rzeczy chodzi o sprawę dość zwyczajną — uporządkowanie pod względem organizacji działalności kulturalnej w powiecie. Czyni się więc głównym i jedynym ośrodkiem kulturalnym w gromadzie lub wsi, szkołę. Tutaj lokuje się świetlicę, bibliotekę, telewizor, kursy uniwersytetów powszechnych. Szkoła jest bowiem naturalną bazą tego rodzaju placówek.

Kiedyś w latach 1956—1958 w Białyninie w pow. skierniewickim była biblioteka gromadzka, której pracę oceniano bardzo wysoko. Była najlepszą w powiecie. Jeszcze dzisiaj w świetlicy stoi na szafie czerwony proporczyk. Jeszcze dzisiaj w powiecie stawia się tę bibliotekę za przykład. Lecz wszystko już tu wygląda inaczej. Po trzech latach wspomnianych sukcesów, ktoś zdecydował, że trzeba bibliotekę oddać pod bezpośrednią opiekę Gromadzkiej Rady. Przeniesiono książki do GRN. Bibliotekarzem uczyniono któregoś z urzędników, a nauczycielka dotychczas kierująca biblioteką „poszła w odstawkę"

No i proszę — było kiedyś 450 czytelników, dzisiaj około 150. Były kiedyś odczyty, spotkania z autorami — dzisiaj nic z tych rzeczy.

Oto przykład oderwania placówki kulturalnej od swego naturalnego zaplecza. Ale trudno powrót tej czy innej biblioteki pod opiekuńcze skrzydła szkoły nazywać eksperymentem.

II

Chociaż może i dobrze, że nazwano skierniewicką inicjatywę eksperymentem. Czasem magia słowa, za którym często się kryje jakiś mit, może spełnić pożyteczną rolę. Ostatecznie wyraźnie widać w pow. skierniewickim, że sypnięto groszem. We wszystkich bibliotekach i świetlicach, które odwiedziłem, wymalowano kolorowo ściany, wstawiono nowe meble, w oknach zawieszono firanki z przyzwoitej tkaniny dekoracyjnej. Wszędzie niemal są telewizory. Czyściutko tu, ciepło i przytulnie. Książki obłożone świeżym papierem czekają na czytelników.

Mówcie sobie co chcecie, ale kiedy się widzi w takiej Strzyboże, w wiejskiej szkole radio, telewizor, epidiaskop, mikrofony, instalację radiowęzła — to jakoś bardziej optymistycznie trzeba szacować tę rewolucję kulturalną, która się na wsi dokonuje. I to niezależnie od tego, czy już dzisiaj te nowoczesne środki są właściwie wykorzystane.

Wydaje się bowiem, że ich obecność na wsi, w szkole, bibliotece, świetlicy wyznacza normy, metody postępowania i zakres ekspansji kulturalnej.

III

Telewizor i książka. Czy jedno nie wyklucza drugiego? Całe wieczory zimowe przesiadują ludzie przed ekranem. Telewizory znajdują się niejednokrotnie w czytelniach. Więc kiedy ludzie znajdą czas na czytanie? I czy zaspokoiwszy swą ciekawość w telewizji, przyjmując pewien zespół wrażeń zachowają jeszcze chłonność umysłu, będą odczuwali potrzebę czytania, uczenia się aktywnego stosunku do dóbr kulturalnych. Czy właśnie telewizja nie nauczy ich biernego przyjmowania już gotowej strawy?

Są to wszystko pytania na wyrost. Jeszcze program małego ekranu nie jest tak wszechstronny, by mógł zaspokoić potrzeby wiejskiego widza, jeszcze telewizja, wciąż będąc nowinką techniczną, fascynuje samą „mechaniką żywego obrazu". Jej działanie kulturotwórcze wyraźnie ogranicza się do manifestowania możliwości technicznych współczesnego świata.

Ale pytania powyższe trzeba stawiać już dzisiaj. Nie wiem bowiem czy jest sens kupować dla gromadzkich bibliotek grube tomy „Historii Polski" — Polskiej Akademii Nauk, „Wiadomości o stylach" — Witwickiego, „Historię filmu" w trzech grubych tomach — Toeplitza i inne tej klasy tudzież rangi dzieła.

A właśnie takie kolekcje książek widziałem w Skierniewicach w Bibliotece Powiatowej przygotowane do wysyłki do owych „eksperymentalnych" wiejskich ośrodków. Kosztuje to ciężkie pieniądze i w tym dopiero wypadku można mówić istotnie o eksperymencie.

Nie powinno się może z góry przesądzać sprawy, ale coś mi się wydaje, że tutaj rzecz nie jest przemyślana do końca. Rozumiem intencję — dać podstawowy kanon wydawnictw encyklopedycznych, podręcznikowych, zbliżyć wszystkie dziedziny wiedzy do mieszkańca wsi, Kraszewskiego zastąpić „Historią matematyki w zarysie".

Od strony postulatów, założeń programowych, celów przyświecających polityce kulturalnej wszystko to jest słuszne. Ale od strony odbiorcy oferowanego „towaru"? Czy będzie w stanie ten odbiorca czy będzie w ogóle chciał studiować opasłe tomiska.

Czy książka dzisiaj jest jedynym środkiem przekazywania wiedzy? Kupujemy książki i telewizory, nie bardzo jednak wiemy jak się tym wszystkim posługiwać, by telewizor i książka nie były ze sobą skłócone, by uzupełniały się wzajemnie. Nie bardzo nawet chyba wiemy, czy można owego skłócenia uniknąć.

A tak na marginesie. Co komu na wsi po „Historii filmu" skoro tam albo nie ogląda się (jeśli nie ma telewizora) filmów w ogóle, albo ogląda takie, o których nie wspomni żaden leksykon.

IV

Czym jak czym, ale czytaniem i wyświetlaniem bajek dla dzieci może się pochwalić niemal każda biblioteka na wsi. W każdej bibliotece dzieci i młodzież stanowią zasadniczą grupę czytelników. One należą do najzagorzalszych telewidzów naprzykrzających się kierownikom świetlic, wytrwałych i cierpliwych i co tu dużo mówić najbardziej skutecznie chłonących program.

Są to fakty, których wagi jakoś nigdy dość nie podkreślono. Oto wyrasta nam pokolenie wiejskie, które od najmłodszych lat styka się z książką, filmem, widowiskiem, dla którego świat nie kończy się na rodzinnej wiosce, pokolenie dla którego dobra kulturalne należą do wartości zasadniczych.

I teraz kwestia: czy potrafimy temu pokoleniu wyjść na przeciw, czy możemy mu ofiarować to co najlepsze w sztuce to co najważniejsze w nauce? Czy kształtujemy w jego oczach obraz świata na miarę współczesnych czasów.

Jeśli więc cieszą kulturalnie urządzone wnętrza świetlic i bibliotek w pow. skierniewickim, jeśli każda antena telewizyjna wzbudza szacunek — to właśnie dlatego, że wszystko to w pierwszej mierze służyć będzie wiejskiej młodzieży.

V

Wszystkie kłopoty i niepowodzenia związane z upowszechnianiem oświaty i kultury — śmiem twierdzić — wynikają nie z braku środków, lecz z nieudolnej organizacji. Nie bez przyczyny przecież już trzeci rok się mówi i pisze o potrzebie koordynacji wysiłków w tej dziedzinie.

Powstały nawet wysokie komisje mające tę koordynację wcielać w życie. Jest komisja wojewódzka, są komisje powiatowe. W gruncie rzeczy ich istnienie nie zmieniło dotychczasowego stanu rzeczy. I tak każdy sobie rzepkę skrobie. Każda instytucja jak potrafi i może działa „na niwie", samodzielnie i oddzielnie.

Otóż ta powszechna niemożność jednolitego działania, stworzenia ruchliwego, sprężystego i sensownego systemu organizacyjnego mści się na każdym kroku. To dlatego nie mogą dotrzeć na wieś dobre filmy, obrazy, muzyka (choćby mechaniczna). To dlatego nie trafiają tu pisarze z prawdziwego zdarzenia, nie zawita wybitny wykładowca.

Dobrze więc się stało, że choć w jednym powiecie podjęto próbę wprowadzenia jakiegoś ładu. Szkoła ośrodkiem skupiającym wszystkie ogniwa. Tak — system szkolny, to już wypróbowana organizacja. W szkole biblioteka gromadzka i świetlica, kursy przysposobienia rolniczego i zespoły czytelnicze, odczyty i spotkania, zespoły artystyczne, czytelnia. W szkole miejsce spotkań młodzieży i starszych. Tu zgromadzone odpowiednie wyposażenie i właściwie wykorzystane. Współpraca organizacji politycznych i społecznych. To chyba niezły konspekt.

Teraz tylko według niego trzeba stworzyć właściwe dzieło, wpisać weń najlepsze treści.

MARCELI KAŻMIERSKI

# MIASTECZKO gdzieś W WOJEWÓDZTWIE

Już w roku 1380 miejscowi obywatele byli dość znani, czego dowodem są pierwsze wzmianki w Księgach Sądowych Ziemi Łęczyckiej. W czasach jagiellońskich mieścina zwana Krośniewicami liczyła kilkuset mieszkańców, w tym wielu kupców i wykwalifikowanych rzemieślników. Po stu latach było ich dużo mniej, lecz po następnych stu miasteczko znowu przeżywało okres świetności. Za panowania Stanisława Augusta zajął się Krośniewicami znany z terenu Łodzi Rajmund Rembieliński. Jak zwykle powodem była kobieta — Agnieszka z Opackich. Rembieliński wybudował pierwszą fabrykę tytoniu, chciał stworzyć z Krośniewic centrum przemysłowe. Dokładnie nie wiadomo dlaczego projekt upadł. Centrum przemysłowym stała się Łódź. Mogło być inaczej. A wtedy... pisałoby się o Łodzi, że istnieje gdzieś tam w województwie Krośniewickim...

Brały Krośniewice czynny udział w narodowych zrywach. Po roku 1863 władze carskie zniosły zarząd miejski. Silnym echem odbił się rok 1905. Ożywiona działalność PPS. Strajki rolne. To tutaj wykonano wyrok śmierci na carskim satrapie — Lorencie.

Druga wojna światowa zniszczyła miasto. Hitlerowcy zwieźli tutaj 5 tys. Żydów, których zabili w pobliskim Chełmku. Bombardowania, pożary...

Miasto jest przeważnie białe, tu i ówdzie kolorowe. Skromne parterowe domki. Często z ogródkami. Trafia się i większy budynek — czteropiętrowy. W środku rynek i kościół, kilkanaście sklepów, kawiarnia, gospoda „Pod Złotym Rogiem", kino. Na murach i płotach napisy jak gdzie indziej, że „Janek jest głupi" a „Zosia trąba". Coś ciepłego chwyta za serce — prywatna inicjatywa reklamuje się hasłami w kolorze tęczy. Nasz łódzki „artysta". To tak jakbyś na końcu świata spotkał rodaka.

Kilometr w jedną stronę i już pola. Na krańcach miasta można zobaczyć drewniane chałupki.

## Krośniewice — miasto w gromadzie

Krośniewice wyzwolono w tym samym dniu co Łódź. Przez te 16 lat zrobiło się tutaj i dużo i mało. Wybudowano 48 izb. Na ukończeniu duży 80 izbowy budynek. Trochę buduje się „na własną rękę". Jest nowy Ośrodek Zdrowia z izbą porodową. Lecznica weterynaryjna. Dwie szkoły podstawowe, z nich jedna dla pracujących. Na pewno coś tam jeszcze o czym nie pamiętam. Nie jest tego dużo, ale jest. Nie znaczy to wcale, że przewodniczący Prez. MRN — Tadeusz Świtoniak chodzi w laurowym wieńcu. Zamiast wieńca ma na głowie dużo spraw niecierpiących zwłoki. W latach 1961-65 ma być wybudowane 200 izb. Blok spółdzielczy dla 18 rodzin. Szkoła ogólnokształcąca z internatem... Wkrótce centrum ma otrzymać oświetlenie jarzeniowe. 80 punktów świetlnych. Brak kanalizacji. Dla śródmieścia potrzeba 1,5 km sieci wodociągowej i stację pomp. Brak remizy strażackiej.

Ilość mieszkańców w Krośniewicach powoli rośnie. A więc przemysł. Głównie związany z rolnictwem. Zakłady Naprawcze Mechanizacji Rolnictwa, Spółdzielnia Wytwórcza Proszku Mlecznego. W ramach GS młyny. Zarząd Kolejek Wąskotorowych na całe Kujawy. To sporo jak na miasteczko o tradycją ustalonej marce zaniedbanego. Wbrew owej ustalonej marce nabiera coraz większego rozmachu.

Tak np. Spółdzielnia Wytwórcza Proszku Mlecznego. Zaorane pola urywają się nagle przed kolosami budynków fabrycznych. Obraz zupełnie jak na plakatach propagandowych.

Wytwórnia jest całkowicie zmechanizowana daje zatrudnienie dwustu ludziom. Tylko. A produkcja na zmianę jest tu rzędu 400 tys. litrów mleka.

Oto ulica Kolejowa. Prowadzi do autonomicznej nie jako części miasta — Zarządu Kolejek Wąskotorowych. Widać tu szereg parterowych domków jednorodzinnych, które wyróżniają się wyższym standartem mieszkaniowym niż pozostałe krośniewickie domy. Ogrodzone siatką, z ogródkami. Kolejarze mają swój ośrodek zdrowia, swój Oddział Socjalno-Bytowy, swoją świetlicę. Ta ostatnia od niedawna jest dostępna dla wszystkich. Nie ma co kryć, istnieje sporo tajonych i nie tajonych zawiści u starych mieszkańców na tych „szczęśliwców".

## W gospodzie „Pod Złotym Rogiem" i gdzie indziej

Jak wskazuje miejscowa statystyka, spożycie alkoholu na głowę nie ustępuje analogicznemu w Łodzi. Niewątpliwie przyczyna nie tkwi jedynie w braku kulturalnych rozrywek. Ale jakiś związek między tymi zjawiskami na pewno istnieje. Kultury — tej dla mas — jest tyle co kot napłakał. Gospoda, rynek, kawiarnia, kino. Zaczarowany krąg, poza który rzadko kto się wychyla.

„Ano chodzi się z rogu na róg. Czasem do kina — mówią mi młodzi rozmówcy. — Poznałem ich trzech. Mają na oko po dwadzieścia pięć lat. Niezupełnie dobrze wiedzą co mają robić z wolnym czasem. Najczęściej siedzą w gospodzie albo w kawiarni, z której pozostała tylko nazwa i wspomnienia. Wpadają chłopi, piją piwo, odbijają pół litra i... odjeżdżają. O tym, że w „Mocce" dają dobrą kawę mało kto wie.

Jedyne w mieście kino — „Tęcza". Sala właściwie nie nadaje się do użytku, lecz mimo to każdego dnia sto miejsc wypełnione jest do ostatniego. Filmy jak na prowincję nowe. I zmienia się co pół tygodnia. Zapaleni kinomani pójdą dwa razy na seans. Inni rzadziej. I co dalej? Do biblioteki miejskiej tak rzadko ktoś zagląda, że nie ma co o niej pisać.

Są trzy przyzakładowe świetlice. Przy PKP, przy GS i przy przetwórni mleka. Normalnie przychodzi 10—15 osób. Ciekawsze programy telewizyjne ściągają setki. Nic dziwnego, że podstawą w każdej świetlicy jest telewizor.

Naprzeciw parku znajduje się obiekt straszydło. Na froncie drewniana klitka z napisem — kasa. Boisko „Krośniewianki". Latem młodzi uprawiają „piłkę kopaną". Jeszcze młodsi pasą krowy. W sezonie zimowym treningi przenoszą się do szkoły, na salę. Rozmawiałem z piłkarzami. Rozgrywki, treningi, ambicje — to w pewnym sensie absorbuje. W najbliższej przyszłości ma powstać boisko do siatkówki przy Wytwórni Proszku Mlecznego. Z inicjatywy ZMS. Był także projekt wybudowania basenu. Każdej doby wylewa się z proszkowni do rzeki tysiące litrów czystej wody o temperaturze 40° C. Niestety istnieje tzw. limit inwestycyjny. A chętnych znalazłoby się dużo.

W tej sytuacji talenty artystyczne po cichu i bez reklamy skupiają się w kółku dramatycznym, które istnieje przy świetlicy PKP. Prowadząca to dwunastoosobowe kółko pani Maria Wichrowska objeżdża z nimi wąskotorowymi „ciuchciami" całe niemal Kujawy. Spotkałem się ze zdaniem, że jest to jedyny zespół ludzi, który coś robi. Teraz też gdzieś „buszowali" w terenie.

Jest tej „kultury dla mas" tyle co kot napłakał. I o tym też dyskutowano na przedwyborczych spotkaniach. Mówiono o wybudowaniu w Krośniewicach kinoteatru i „kombinatu" kulturalnego — miejskiej świetlicy wraz z czytelnią i biblioteką, oraz kabaretem. Coś w rodzaju domu kultury. Można się oczywiście śmiać, wybrzydzać, że z tymi domami kultury to było panie, coś nie tego. Można. A społeczeństwo Krośniewic chce mieć swój dom kultury.

I to jest chyba ważne.

## Odbudowanie ludzkiego zaufania

W Krośniewicach wszyscy się znają, wszyscy o wszystkim wiedzą. I nie tylko dla siebie. Wpływ wsi to to oprócz charakterystycznego żargonu, zawziętość i zadziorność. Łatwo o kłótnie, niesnaski załatwiane między sobą. Zdarzają się tragedie. Trzy lata temu zabito na zabawie dyrektora jednego z zakładów. Kiedyś znaleziono trupa na torach. Milicja jest bezsilna. Śledztwo umorzono. Ludzie wiedzą tylko „dla siebie".

I znów reporterskie szlaki zawiodły mnie do Wytwórni Proszku Mlecznego. Tym razem nie do dyrekcji, do świetlicy.

„W tej formie świetlica istnieje dwa lata. Korzystają z niej pracownicy zakładów i ich rodziny" — mówi kierownik inż. Labona. — „W tym roku zorganizowaliśmy dwa wieczorki taneczne, turniej ping-pongowy o mistrzostwo..." Słucham mimo, że to nic nowego. To samo powie kierownik świetlicy w Parzęczewie czy innym Pipidówku. Tutaj ma to jednak trochę inny smak, inne znaczenie. To właśnie tu miało miejsce zabójstwo dyrektora i tu kilka późniejszych wypadków. To o czym mówił inżynier Labona, są to próby odbudowania ludzkiego zaufania. I próby chyba udane. Świetlica ma już swych stałych bywalców, którzy tu przychodzą nawet z żonami... Przychodzą, zajrzą do gazety, grają w warcaby. Nie siedzą nad kieliszkiem... Nie jest to radykalny środek w mieście, gdzie życie towarzyskie grupuje się wokół „Złotego Rogu". Ale jest w ogóle środkiem.

„Każdy powinien robić to co jest w zasięgu jego ręki" — kończy rozmowę kierownik Labona.

Czy o tym pomyśleli moi trzej rozmówcy z Krośniewic lub grupa miejscowej inteligencji, która spotyka się na towarzyskich partyjkach, roberkach, kawach i rzadko wychyla się ze swojego kręgu? Wszystkim im brakuje pasji. A jeżeli już mowa o pasji, to nie sposób nie wspomnieć o panu mgr Jerzym Dunin-Borkowskim.

## Człowiek z pasją

Mgr Borkowski prowadzi jedyną w mieście aptekę. Trafić nietrudno — w rynku. Ale nie apteka ściąga reporterów i nie reporterów do tego miasteczka. Nad nią znajduje się prywatne mieszkanie-muzeum. Pasja, której pan Borkowski poświęca każdą chwilę swego pięćdziesięcioletniego życia. Ściany są szczelnie obwieszone obrazami, bronią, pod ścianami antyki, gabloty. Można powiedzieć, że w tym mieszkaniu wszystko jest dziełem sztuki. Baciarelli, Matejko, Gierymski, Kossak, Grottger. Odręczny szkic Kraszewskiego „Chaty za wsią". Stare karabele, hełm husarski z żelaznymi skrzydłami i tuż obok hełm z Powstania Warszawskiego. Stare zegary, książki. Serwis polowy Napoleona. Monety z różnych wieków. Kolekcja „Virtutii Militari" począwszy od Stanisława Augusta aż do ostatnich czasów. Nie sposób wszystkiego obejrzeć, wszystkiego opisać. Trzeba by miesięcy. Muzeum liczy sobie 18 działów. Nie wszystko jest eksponowane. Większą część zbiorów jest zmagazynowana na strychu, w piwnicach. Tu w pokoju jeszcze tylko na suficie można by coś powiesić. Gospodarz jest żenująco gościnny. Wyciąga coraz to nowe książki, medale... Wszystko to bezcenne. Nie ma chyba nikogo, kto byłby w stanie zakupić te zbiory. Bo czyż można kupić całą masę ludzkiej życzliwości i szacunku. Szacunku dla człowieka, który te wszystkie skarby przez pięćdziesiąt lat tropi wytrwale na strychach, w piwnicach, starych dworkach. Dla człowieka, który niejednokrotnie uratował je od zniszczenia.

Pan Dunin-Borkowski jest dziwnym człowiekiem. Każdemu chętnie pokazuje swoje zbiory. Korzystają z nich kustosze muzeum, profesorowie, historycy sztuki.

Powoli rozmowa schodzi na bardziej współczesne tematy — poszerzenie ekspozycji, niedawna wizyta wiceministra Garsteckiego, inne zabytki w okolicy (mgr Borkowski jest z ramienia Ministerstwa Kultury i PTTK powiatowym opiekunem nad zabytkami, ich konserwatorem i ekspertem).

Mówimy jeszcze o młodzieży w Krośniewicach. O tym, że każdy z nas powinien mieć pasję, której się poświęca.

Już ciemno. Godzina 18. Mijam w drzwiach jakąś kobietę.

— Panie doktorze. Autobus się spóźnił, a ja potrzebuję tego lekarstwa...

I pan Borkowski schodzi do apteki.

Trzeba mieć pasję.

* * *

To miasto „da się lubić". Muszą przecież istnieć małe miasteczka. Z małymi domkami. Małymi uliczkami. Z listonoszem, którego wszyscy znają. Codziennie z trzaskiem otwierają się sklepy. Codziennie wali do pracy kolejarska armia. Nie na darmo nazywają to miasto, stolicą kujawskich kolejarzy.

Nie ma w Krośniewicach cudów. Raczej przeciwnie: ciasno, niewygodnie mieszkają ludzie od lat. Dla wielu też nawet najbliższe lata nie przyniosą wielkich szans poprawy. Po staremu będzie chyba codzienny kłopot wiązania końca z końcem.

— Czy aby starczy do pierwszego?

Krośniewice są miastem kontrastów: — duże tradycje historyczne i powolne tempo rozbudowy. Niezbyt budująca ostatnia przeszłość — zaniedbanego miasta i rozwijający się przemysł, brak kulturalnych rozrywek i kilku ludzi ze „społecznym zacięciem" Nie podejmuję się syntezy tych zjawisk.

**STANISŁAW KASZYŃSKI**

# NIEDŹWIEDZICE SZUKAJĄ MIŁOŚCI

*Serce Bośni, ziemia dumna, jak śpiewają w pieśniach, uparta, namiętna. Tam są jeszcze wielkie lasy, ogromne drzewa wybijające się w przezroczysty błękit. Przez taki park niespokojnej zieleni i zwierząt strach, doprawdy, jechać nocą. Ale człowiek już nie zna tego uczucia, wżyna się w takie ostępy i parowy ciekawością czy mechaniczną piłą, by zagłuszyć swe istnienie albo zdobyć pokarm dla słów. Nie warto wchodzić daleko w miękkość i dźwięki. Zatrzymajmy się. Oto tu, opodal ściemniałej ściany buków, stężonej ciszą i cieniem, jakiś kilometr od wsi, mieszka leśnik, lugar. Chłop potężny, pyszny w barach, brunatny, owłosiony. Żyje samotnie już szósty rok od śmierci żony, wysokiej i białej kobiety z miasta, którą, jak sądzono w okolicy, sprowadziły w to pustkowie jego nocne talenty. Teraz lugar nie utrzymuje ze wsią bliższych kontaktów. Czasem tylko zachodzi do gospody albo na targ z upolowanym zającem, spuszcza towar za psie pieniądze— kilka litrów rakiji — bierze butelki i zawraca do chałupy. Ludzie zapatrzeni w czmychające gąszczem jelenie i wierzchołki drzew nie są skłonni do gawęd. Leśnik niechętnie podejmuje rzucane słowa. Nie zerka, jak dawniej na baby, choć tu i ówdzie szepce się na jego widok soczyste uwagi. Rzadko zresztą mówi się o nim. Chyba wtedy, gdy na drodze od lasu olbrzymieje jego sylwetka jak przypomnienie kniei lub kiedy chce się kogoś trafnie porównać — z niedźwiedziem. Zagubiony w drzewach jak mech wyślizgiwał się z pamięci, tkwiąc jeszcze na krawędziach wyobraźni, a może niedobrego snu. Cóż, wieś ma teraz prawdziwe zmartwienie i aktualniejszy temat do dyskusji. Osobliwe! Małe skupiska zaczynają żyć intensywniej, kiedy staje się coś złego. Musi nastąpić odchylenie od normy, żeby rozpadła się obojętność wobec własnej wegetacji. Może to być pożar, gwałt dziewczyny, śmierć zdrowej krowy. Po takich wizytach losu energia opada i omal wszystko się już powtarza. Tym razem mówiono o tajemniczych kradzieżach w pasiekach. Ktoś czy coś wybiera miód. Początkowo podejrzewano o to jednego z miejscowych złodziejaszków, były to jednak tylko poszlaki. Zima zbliżała się ku końcowi. Trzymał jeszcze mróz, ale śniegu już nie było i na zeskorupiałej ziemi nie dostrzegano śladów. Ktoś inny posądzał o przestępstwo niedźwiedzia. Wyśmiano go. Wprawdzie miód znikał wraz z ramami, lecz na taką sztuczkę rozumowano, za głupi byłby miś. Strzeżono, węszono, zawiadomiono milicję. Nic i nic. Tajemniczy osobnik nadal uprawiał swe nocne rzemiosło, a skłopotani Bośniacy zachodzili w głowę, kį bies pustoszy ich dobytek. Miód znikał raz z tego, raz z innego ula. Aż tu w jakiś miesiąc po pierwszym włamaniu schwytano leśnika z ramą. Jeden z chłopów poznał swoją znaczoną ramę na targu. Lugar widocznie zapomniał wyjąć miód i wpadł. Niezupełnie. Odwołano się do pomocy milicji. Na posterunku oświadczył:*

*— Po prawdzie to kradziony miód, nie zaprzeczam. Alem niewinny.*

*Nie ja miód wybierałem. No, dostawałem w prezencie. Mogą towarzysze przyjść do mnie i sprawę na miejscu przebadać. Najlepiej tak wieczorem. Innego wyjścia tu nie ma.*

*Po czym spuścił łeb skulony i zamilkł. Długo się zastanawiano.*

*Mimo wszystko, trochę niedowierzano. Miał jednak dobrą opinię u władz, jakże więc karać. Ostatecznie komendant nakazał trzem milicjantom udać się do chałupy. Przyszli o zmroku. Lugar przyjmuje ich mruknięciem i zapada nagle w odrętwienie, które jeszcze bardziej spręża ciszę otoczenia. Gdy tak stoją, gotowi i niemi, rozglądając się i nasłuchując, lugar zbliża się i mówi szeptem:*

*— Trzeba teraz wejść na górkę... Po drabinie.*

*Zdziwieni słuchają. Lokują się ne stryszku, mając pod sobą mały otwór na izbę. Lugar odczekuje chwilę, człapie do kąta i wyciąga się na skrzypiącym wyrku, zarzucając ne siebie bundę. Odwraca się powoli do ściany. Długie czekanie. Trzask gałęzi, podmuchy wiatru, zniecierpliwienie. Dopiero po godzinie, nagle, pęka cisza. Od strony podwórza rozległo się jakieś dudnienie, chrobot i po chwili w wypartych drzwiach pojawia się niedźwiedzica. Milicjanci odbezpieczają pistolety, a lugar przewraca się na drugą stronę. Patrzy w górę jakby przyzywając świadków swej bezradności. Niedźwiedzica, pomrukując z jakiego ukontentowania czy niezadowolenia zatrzymuje się na środku izby, rozgląda się niespokojnie. Pewnie sytuację uznaje za przychylną, bo toczy się oto ruchem starej baletnicy do wyrka. Kręcąc łbem niby w takt jakiejś puszczańskiej melodii, nieznanej ludziom, zaczyna umizgi. Niezwykłe, ciepłe i miękkie przegiby, które przypominają jakiś wyuczony uprzednio obrzęd leśnej sztuki kochania. I tak wspięta prawie pod pułap na szeroko rozstawionych nogach, oprószonych śniegiem, puszcza się w obłąkańczo radosny tan, który przenika ją całą zmysłowym drżeniem. Niezgrabne, choć przymilne ruchy upodabniały ją chwilami do lubieżnej starej kobiety, co wyczerpawszy wszystkie środki kokieterii swej płci nie traci nadziei i jeszcze tańcem próbuje wyżebrać przychylniejszy gest obojętnego partnera. Jej gra miłosna staje się coraz natarczywsza. I nagle, nie wytrzymując ciśnienia rozpętanego w sobie napięcia runęła wzdłuż wyrka. Cisza przeszła w jakąś niesamowitą grozę złej bajki. Tylko rzężenie zwierzęcia opływało martwe powietrze, udziwnione późną porą.*

*Wówczas podnosi się leśnik. Wyprostowuje się z trudem, ciężko dysząc. Robi kilka kroków, omijając drgające cielsko i przyklęka. I gdy tak rozwalona jak ścięte drzewo leży i pomrukuje w złowieszczej ekstazie, chłop gwałtownym ruchem wbija się w jej chłodne futro.*

*To, co uczynił było rewanżem. Albo przyzwolonym aktem desperacji albo zwykłym uciszeniem, pokorną ofiarą samca.*

*Na rozprawie sądowej, w ostatnim słowie oskarżonego, lugar mówił niewiele. Sędzia Nikolić, który przewodniczył, ujął to tak: „Każdy na swój sposób jest samotny. Są takie pnie w lesie, na których nie siada żaden ptak. Są strzaskane konary, zczerniałe od deszczu, bez słońca, bez soków. Spotka się nocą wilka, który w pojedynkę przebiega nieludzką ziemię. Ta niedźwiedzica nikogo pewnie nie miała. Przyszła wieczorem. Przyniosła ramę z „żółtą po soką". Pewnie wyczuła, że jestem sam i zaczęła tańczyć."*

*Tyle lat żył w lesie, rozumiał czego jej brakowało. Nie widzi w tym nic złego. Nie ma czego się wstydzić. Wszystko zło jest poza przyrodą.*

*Uniewinniono go.*

# Ostatnia szansa ONZ

*(Dokończenie ze str. 2)*

Hammarskjoeld nie wykonał.

Rząd Związku Radzieckiego oraz rządy innych krajów socjalistycznych nie zawahały się wyciągnąć wniosków z kongijskiej tragedii i działalności sił ONZ w tym kraju. Wyraziły one votum nieufności wobec sekretarza generalnego ONZ mimo świadomości faktu iż nawet w wielu krajach neutralnych istnieją jeszcze złudzenia co do osoby Hammarskjoelda. W krajach neutralnych istnieją również obawy, iż ustąpienie Hammarskjoelda i zapewne długotrwała dyskusja na temat ustalenia nowych form strukturalnych ONZ mogłyby doprowadzić do paraliżu tej międzynarodowej organizacji. Stąd szereg niekonsekwencji w postępowaniu nawet czołowych przedstawicieli grupy krajów prowadzących politykę pozytywnej neutralności. Na przykład: Zjednoczona Republika Arabska, która uznała rząd Gizengi, wycofała w swoim czasie swoje kontyngenty wojskowe spod dowództwa ONZ w Kongo składając tym samym votum nieufności dowództwu wojsk ONZ, jest autorem rezolucji Rady Bezpieczeństwa, która zwiększa uprawnienia wojsk ONZ w Kongo. Związek Radziecki mógł oczywiście skorzystać z przysługującego mu prawa veta. Nie uczynił tego jednak, zgodził się nawet na to by Hammarskjoeld którego nie uznaje, kierował nadal akcją ONZ w Kongo, po to, by dać tej organizacji ostatnią szansę,

by pozytywne elementy przyjętej rezolucji ZRA, Liberii i Cejlonu, a przedewszystkim usunięcie z Konga militarnego i paramilitarnego personelu Belgii mogły zostać zrealizowane.

Jednocześnie rząd Indii wysyła do Konga 3.000 ludzi dla wzmocnienia obecnych tam sił ONZ. Również Tunezja i Liberia zamierzają wysłać do tego kraju dodatkowe kontyngenty wojskowe. Rząd Indii, który w sprawie Konga zajmuje wyraźnie chwiejne stanowisko, postawił jednak warunek Hammarskjoeldowi — żąda mianowicie natychmiastowego usunięcia belgijskiego personelu, uważając, że jakiekolwiek zwlekanie w tej sprawie jedynie pogarsza sytuację.

Jest oczywiście sprawą otwartą, w jaki sposób ONZ realizować będzie w Kongo decyzje Rady Bezpieczeństwa i i czy wykorzysta tę szansę, jaką jeszcze posiada. Nie mniej jednak na porządku dziennym stoi i stać będzie kwestia zmian strukturalnych ONZ. Kraje socjalistyczne nie mogą ufać sekretariatowi ONZ w jego dzisiejszej postaci. Dlatego ONZ jest aktualnie tylko areną międzynarodowych rozmów, ale nie instrumentem służącym rozwikłaniu spornych problemów międzynarodowych. Narody zjednoczone mogłyby być nim tylko wtedy, gdyby interesy wszystkich grup państw były należycie zabezpieczone i o ile działalność Sekretariatu Generalnego będzie wypadkową stanowisk reprezentowanych przez różne kraje.

**JACEK LEBEN**



**MARIAN PIECHAL**

SEDNO RZECZY

# PISARZ TO STYL

Powiedzmy to od razu, żeby uniknąć nieporozumień: pisać może i przy odrobinie dobrej woli potrafi każdy. Życie każdego człowieka, zwłaszcza w dzisiejszych czasach, nawet najbardziej przeciętnego jest na tyle ciekawe, że warto je opisać i niejeden je opisuje. Ale czy przez to staje się pisarzem w tym znaczeniu, jakie przypisujemy zwykle temu słowu, to znaczy człowiekiem parającym się zawodowo piórem czyli literatem?

Nic podobnego. Znamy wiele ciekawych książek pisanych nie przez literatów i właśnie tym ciekawszych, że pisanych bez specjalnych ambicji literackich — ba! — ich autorzy byliby zdumieni, gdyby ich nazwać literatami albo pomówić o chęć zostania pisarzami. I — o dziwo! — ich książki są często nie tylko ciekawsze, ale i artystycznie wartościowsze od wielu książek pisanych przez zawodowych literatów. Wystarczy wspomnieć o przedwojennych „Pamiętnikach chłopów" lub o „Życiorysie własnym robotnika" Jakuba Wojciechowskiego, zachęconego do spisania swych wspomnień przez Boya-Żeleńskiego albo o powojennych pamiętnikach („Stare i nowe") Lucjana Rudnickiego.

Czym to wytłumaczyć? Osobowością autora. Ktoś może powiedzieć, że o wartości książki stanowi jej treść. Owszem, ale wartość tej treści może się ujawnić w książce tylko i jedynie przez nieprzeciętną osobowość autora. Autor nieciekawy jako indywidualność zmarnuje każdą, nawet najciekawszą treść, nadając jej własne piętno w kategoriach banału i przeciętności. Ot, w tych dniach ukazały się w księgarniach książki pamiętnikarskie dwóch lekarzy, nie roszczących sobie bynajmniej żadnej pretensji do literatury pięknej, chociaż pamiętnikarstwo pewnego typu należy do niej. Są to: Mariana Łączyńskiego *„Prawie sto lat"* i Adama Majewskiego *„Wojna, ludzie i medycyna"*. Pierwsza zawiera wspomnienia z okresu blisko stu lat, mówi o wydarzeniach, począwszy od Komuny Paryskiej, poprzez rok 1905, Rewolucję Październikową, obie wojny światowe ,aż do naszych bez mała dni, a druga tylko o kilku latach ostatniej wojny — no i pierwsza jest banalna, jałowa, nudna jak flaki z olejem (notabene, nigdy nie jadłem flaków z olejem!), a druga tak ciekawa i porywająca, że się od niej oderwać nie można, choć jest dwakroć obszerniejsza od pierwszej, bo liczy dwa bite tomy.

Co tedy zaważyło ostatecznie na jakości tych książek? Różna indywidualność ich autorów. O wartości książki decyduje bowiem nie tylko to, co ona zawiera, ale i to, kto ją napisał. Człowiek piszący książkę, jego osobowość, jest ostateczną miarą jej wartości. Osobowość człowieka piszącego stwarza styl książki, a od stylu zaczyna się pisarz. Pisarz to styl. Książki pisane bez stylu są książkami poza literaturą. Nie darmo mądrzy, bo doświadczeni w tych rzeczach Francuzi, mówią, że styl to człowiek („le stil c'est l'homme"). Jeśli człowiek jest nijaki, to styl tego, co napisze i wszystkiego, cokolwiek zrobi, będzie nijaki. Styl zdradza człowieka. Mickiewicz powiedział w swoich wykładach paryskich, że aby coś zrobić w literaturze, trzeba być kimś w życiu. Słowem styl to zwierciadło, które odbija wiernie osobowość ludzką. Im wartościowszy człowiek, tym bardziej indywidualny styl. Ażeby zostać pisarzem, trzeba być nieprzeciętnym człowiekiem. Od stylu bowiem rozpoczyna się pisarz. I to go różni zasadniczo do innych piszących. Pisać bowiem może i ma prawo każdy. Ale nie każdy przez to jest pisarzem. Jak Iwa po pazurach tak pisarza poznać po stylu.

Jak nie ma dwóch liści podobnych do siebie na drzewie, tak nie ma dwóch pisarzy podobnych do siebie ze stylu. Tylko własny, odrębny, indywidualny styl daje prawo do wejścia na Parnas i jest legitymacją, uprawniającą do miana pisarza z powołania. Ponieważ człowiek jest wartością jedyną i niepowtarzalną, styl pisarza z prawdziwego zdarzenia jest zawsze jedyny i niepowtarzalny. Przepaście całe dzielą styl Jana Kochanowskiego od stylu Andrzeja Morsztyna, styl Mickiewicza od stylu Norwida, styl Żeromskiego od stylu Reymonta, a styl Tuwima od stylu Gałczyńskiego. Ich różne style wyrażały ich odrębne indywidualności.

A co w takim razie powiedzieć o dziesiątkach współczesnych nam poetów i prozaików, których styl jest jeden i ten sam, wspólny, wyprany z indywidualności, nie to, że podobny, lecz wprost identyczny? Czy to są pisarze? Nie, to są niedopisarze, a literatura przez nich tworzona jest niedoliteraturą. Skądinąd Włodzimierz Majakowski znał podobny objaw, kiedy pisał:

*„Jam pono akademik o wielkim tytku,*
*ponoć arcykapłan rymów nieusłużnych.*
*Ale ja w gruncie rzeczy jednego chcę tylko:*
*jak najwięcej poetów dobrych i różnych".*

Co innego zaś wspólny styl epoki czy okresu literackiego, ale o tym następnym razem.

## TARAS SZEWCZENKO

### NOCNY DNIEPR

Ryczy i jęczy Dniepr szeroki,
Wiatr wyje pędząc chmury w dal,
Ku ziemi wierzby gnie wysokie
I wzdyma góry groźnych fal.

A blady miesiąc o tej porze
Między chmurami kryć się zwykł —
Jak łódź na niespokojnym morzu
To się wynurzał, to znów nikł.

Jeszcze noc. Nigdzie żywej duszy.
Trzeci kur milczy — wstrzymał czas.
Puszczyki tylko kwilą w głuszy
I jesion skrzypi raz po raz.

Petersburg 1838

### NI ARCHIMEDES...

Ni Archimedes, ni Galileusz
Nie oglądali wina. Oleju
Dość mieli tylko mnisi pokorni.
A wy, zwiastuny światła, w ugorny
Poszliście świat i chleba kruszynę
Daliście jako dobro jedyne
Ubogim królom. Plonem obfitym

**W dniu 10 marca br. przypada setna rocznica śmierci największego poety Ukrainy, Tarasa Szewczenki. Żył lat 47, z czego 24 lata spędził w niewoli pańszczyźnianej (wykupiony z niej za 2500 rubli), 14 lat na zesłaniu i katordze za pisanie wierszy patriotycznych w języku ukraińskim i za działalność polityczną, a tylko 9 lat na wolności. Osierocony we wczesnym dzieciństwie był najpierw pastuchem, potem pomocnikiem kucharza, wreszcie lokajem dworskim. Samouk, zdobył znaczne wykształcenie i stał się pierwszym w literaturze ukraińskiej wieszczem narodowym, rzecznikiem wyzwalającego się z pęt feudalizmu chłopstwa. Wśród swoich przyjaciół i nauczycieli liczył wielu znanych Polaków, jak Sierakowski i Zaleski.**

Obrodzi przez nich posiane żyto!
Wyrosną ludzie. A królewicze
Pomrą, nim jeszcze zaczną swe życie.
Na odrodzonej, radosnej ziemi
Nie będzie wrogów, tyranów mściwych,
Lecz tylko syn i matka. Szczęśliwi
Będą braterstwem ludzie złączeni.

Petersburg, 24 września 1960

Przełożył: MARIAN PIECHAL

### NA LUDOWĄ NUTĘ

Płynie woda spod jawora
Jarem na dolinę,
Woda w głębi swej odbija
Czerwoną kalinę.
Czerwieni się kalineczka,
A jawor młodnieje,
A wokół nich gęsta łoza,
Łoza zielenieje.

Płynie woda spopod lasu,
Listeczki ją zdobią.
Pluskają się kaczęteczka
W nadrzecznym sitowiu.
Stara kaczka zaś z kaczorem
Wypływa za nimi,
Łowi rzęsę i gaworzy
Z dzieciątkami swymi.

Płynie woda spod ogroda,
Strumień się rozlewa.
Przyszło dziewczę nabrać wody,
Nabiera i śpiewa.
Wyszli z chaty ojciec z matką,
W śpiewkę zasłuchani:
Kogo by tu nazwać zięciem,
Myślą zadumani.

Petersburg, 7 listopada 1860

## JERZY WALEŃCZYK

# W poszukiwaniu pozytywnego bohatera

Książka Andrzeja Minkowskiego *) składa się z szeregu kolejnych retrospekcji. „Warstwy zdarzeń nakładają się na siebie, przenikają wzajemnie, by utworzyć w końcu dwuwymiarową płaszczyznę". Książka nie jest więc szablonowo zbudowana i w stosunku do poprzednio wydanej w Wydawnictwie Łódzkim, „Nigdy na świecie", często nieporadnej, wykazuje większą sprawność warsztatu. Spotykamy tu znaną nam paralelę z powieści produkcyjnej. Anzelm Ruszczyc jest kreowany na „bohatera z głębokiej prowincji", który nie chce przerwać prac przy budowie fabryki mimo licznych trudności, jak zła lokalizacja, podmokły teren, zerwanie się ściany, niedochmura nudy. Choć nie można posądzać bohatera o to, że jest z papieru. Nie. Anzelm jest postacią pełnowymiarową, ma swoje życie wewnętrzne, sprawy prywatne wysuwają się nawet na czoło (żona, flirt z Anielką), zagłuszają część produkcyjną. Są więc zachowane należyte proporcje, które nie pozwalają na zaopatrzenie książki etykietką „nowy produkcyjniak". Anzelm jest bohaterem pozytywnym. Chce wybudować fabrykę w miasteczku, gdzie po nocach mieszkańcom „śni się tramwaj". Nie chce się przenieść do Warszawy choć mógłby. W gruncie rzeczy moglibyśmy najoficjalniej przenieść się do Warszawy" — mówi Grzegorz. Anzelm szanuje kolegów, którzy są podporą ministerstwa i nie zapominają o starej przyjaźni, ale dziękuje. Maluczki bohater głębokiej prowincji jest nieustępliwy. „A pan jak na wojnie. Ludzie nie mają ochoty wypruwać z siebie żył, bo nic ich do tego nie zmusza. Budowa fabryki to trochę tak samo jak wtedy pod wzgórzem C—4". Ale wojna skończyła się. Pozytywny bohater gra ze sobą samym w pokera. Anzelm mówi: „Średnie obroty to hamulec, rozumie pan? Jeśli odejde nie będzie tu nigdy fabryki, to raz. Dotyczy to tutejszych mieszkańców, ich nadziei, jak powiadają — szansy. „A robotnicy? „Będą pojedyńczymi ludźmi między którymi nikt nigdy nie przerzuci pomostu". Anzelm Ruszczyc, jak przystało więc na pozytywnego bohatera, dźwiga brzemię odpowiedzialności. Jednak żyje pełnym życiem duchowym, ma kompleksy, w czasie wojny zabił Rudego — dezertera, kompleks Rudego ostro manifestuje się i przeplata ze sprawami fabryki.

Podobną próbą kreowania bohatera pozytywnego — tym razem szarego, przeciętnego urzędnika — jest „Romans" Eugeniusza Kabatca. Dzieje bohatera „Romansu" Jakuba Merana są, ogólnie mówiąc werbalne i nieprzekonywujące. Książka jest przegadana, całe partie powieści są luźnymi interpolacjami nie mającymi żadnego związku z akcja powieści, która nie potrafi wylegitymować się sensownie zbudowanymi wydarzeniami. „Romans" zawiera zbyteczne opisy, (jak np. opis miasta), które nie pozostają w prostym stosunku do głównego wątku. Niestety zbyt anemicznego, aby mógł pełnić organiczna funkcję w powieści.

Całość cierpi na niedokrwistość, na brak mięsa fabularnego, na atrofię głównego nerwu książki. W rezultacie otrzymaliśmy bezkształtną i amorficzną powieść, nad która dominuje nuda. Wydaje mi się, że główne źródło nudy, to niedostateczne uświadomienie sobie przez autora swojego zamysłu powieściowego. Trudno bowiem odczytać, czy Jakub Meran szuka istotnie ludzkiej życzliwości, czy też jest to studium szarzyzny bytowania zwykłego urzędnika z pozytywnymi popędami.

Teza „o poszukiwaczu życzliwości" z jaką Kabatc deklaruje się w wypowiedzi od autorskiej jest mocno naciągnięta i nie ma nic wspólnego z głównym nurtem tematycznym książki.

Natomiast wątek sprawy Filipa Dulęby jest zbyt błahy, aby mógł być funkcjonalny w całości. Postać kasjera, który przywłaszczył sobie 3.000 zł jest apatyczna i po prostu nieciekawa. Ta sama uwaga dotyczy wątków erotycznych. Są przypadkowe, niedostatecznie uzasadnione.

trzymanie terminu dostaw, brak siły roboczej itd.

Anzelm Ruszczyc jest więc „silnym człowiekiem". Ale nie w tym tkwi dyferentia specyfika tej książki. Całość jest stanowczo za długa, jak na to, co autor ma do powiedzenia. Chwilami wręcz nużąca. Nerw

akcji, która można zrekonstruować ze strzępów retrospekcyjnych, zabijają barwne opisy różnych sytuacji, które nie są nieodzowne dla konstrukcji całości. Nad książką wisi ciężka

*) **Aleksander Minkowski „WIELKI POKER" Wydawnictwo Łódzkie, 1960. Eugeniusz Kabatc „ROMANS" Wydawnictwo Łódzkie 1960.**

# Wystawa łódzkiej prasy

Na wstępie powiedzieć trzeba od razu: wystawa „Prasa łódzka dawniej i dziś" to inicjatywa mądra i historia łódzkiej prasy na taką ekspozycję ze wszech miar zasługuje, jest to poza tym wystawa spełniająca niewątpliwie społeczne zapotrzebowanie. Brawo więc — Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich.

To są nie ulegające wątpliwości pozytywy wystawy „Prasa łódzka dawniej i dziś" eksponowanej w niepozornej i mało znanej szerszemu ogółowi salce Klubu Dziennikarzy. Pozytywem są z pewnością również trzy plansze interesujących reporterskich zdjęć Eugeniusza Kudaja. Rzecz zresztą dziwna — nikt z piszących o wystawie dziennikarzy na ten oczywisty walor ekspozycji nie zwrócił uwagi. Przypomina się przysłowie o prorokach we własnym kraju...

A minus? Czy właściwe zresztą będzie tu określenie minusy? Nazwijmy rzecz inaczej.. Jest kilka „białych plam", które budzą wątpliwości.

Więc prasa tzw. brukowa. Czy można ją pomijać? Brak pamięci jest wygodny — powiedział jeden łódzki publicysta, ale wiemy skądinąd, że opinie, przekonania, gusty wielu tysięcy czytelników kształtowane były właśnie przez prasę brukową. Ten rodzaj „piśmiennictwa" to na pewno zarówno kawał historii prasy jak i kawał historii obyczajów, upodobań, gustów...

Rzecz druga. Żyło w Łodzi przed wojną ponad 100 tys. mieszkańców narodowości żydowskiej. Żydowska prasa istniała. Wychodził przecież znany „Najer Volks blat" wychodził również postawiony na bardzo wysokim poziomie tygodnik „A Pojliszer Manczester". I o tym zapomniano. Jest to tym bardziej dziwne, że nie zapomniano przecież o eksponowaniu gazet niemieckich. W końcu tytuł wystawy — sugerujący bardzo szeroki zakres tematyczny — do czegoś zobowiązuje. Jeśli pokazano zwiedzającym (i słusznie) strony tytułowe wszystkich „Przeglądów dentystycznych" i tym podobnych periodyków nie powinno chyba zabraknąć gazety świadczącej o jakimś na pewno specyficznym charakterze miasta

W ogóle większość uwag nasuwających się w związku z wystawą jest tego właśnie typu — pominięto. Pominięto zatem łódzką prasę „pepesiacką", chociaż znalazło się miejsce na ekspozycje pisma endeckiego więc nie szło chyba tutaj o względy „ideologiczne". Pominięto pisma i periodyki kulturalne jakie na przestrzeni wielu lat ukazywały się w międzywojennej Łodzi. I tutaj trudno znaleźć rozsądne wyjaśnienie tej „białej plamy".

Wystawa jest ekspozycją z pewnością potrzebną, na pewno stanowi poważne wydarzenie nie tylko na lokalną skalę, lecz o prasie łódzkiej mówi w sposób — niestety — bardzo wycinkowo. Nawet fragment ekspozycji pokazujący jak powstaje gazeta nie jest dla laika zbyt zrozumiały. Może — nastawiając się właśnie na jaknajszerszego odbiorcę — należało ten dział szczególnie rozbudować? Wtedy braki w dziale historycznym byłyby może usprawiedliwione.

Nie chciałbym aby mnie źle zrozumiano. Wystawa jest mimo braków ciekawa i mimo bardzo niefortunnego zlokalizowania cieszy się przecież powodzeniem. Sądzę też, że w tej już istniejącej postaci warto ją po jakimś czasie przenieść do bardziej eksponowanego lokalu, obwieścić w mieście i województwie. Jako recenzent chciałbym powiedzieć, że pokazano nam stanowczo za mało jak na setną rocznicę łódzkiej prasy. Nie otrzymaliśmy wystarczającego zarysu historii łódzkiego dziennikarstwa i prasy, lecz tylko „bryk" i to z wieloma brakującymi stronami. Ale bryki są czasem pożyteczne. Szczególnie dla młodzieży.

JERZY WILMAŃSKI

odgłosy str. 7

# FLIBUSTIERZY

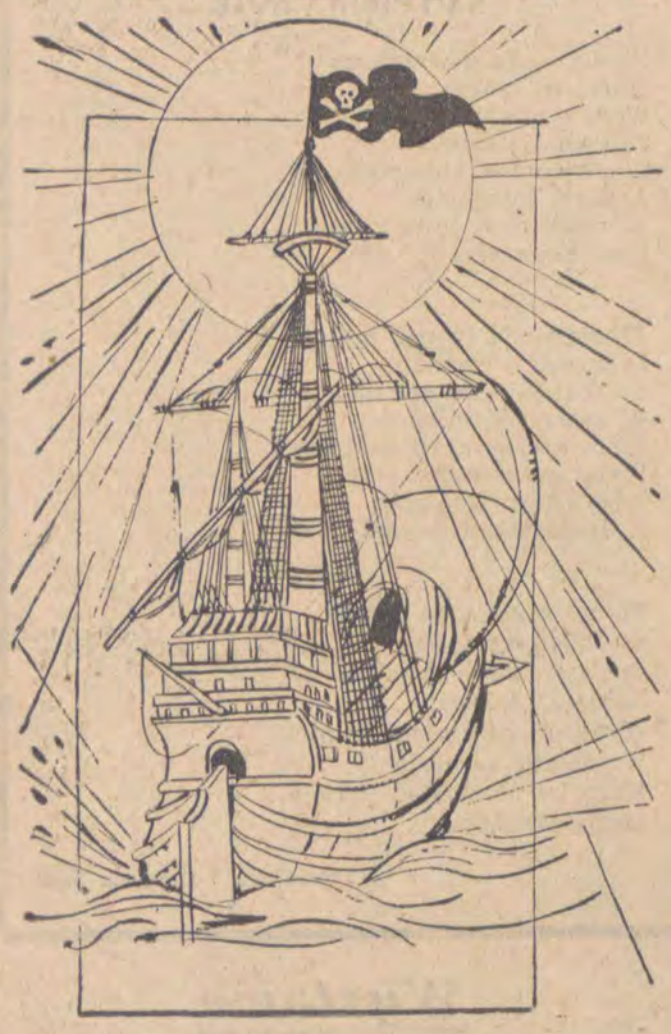

Sensacyjne porwanie luksusowego transatlantyku. Alarm na okrętach wojennych. Depesze i telefony, sprzeczne komunikaty radiowe, sążniste artykuły w prasie.

Dla reszty świata bohaterski epizod „Santa Maria" był sygnałem przypominającym walkę wyzwoleńczą ludu portugalskiego. Ale dla zamkniętych w kabinach, 536 pasażerów statku miał posmak jeszcze inny — romantycznej morskiej przygody. Odżyły opowieści o „wyspach skarbów", obładowanych złotem galeonach i śmigłych jak psy gończe okrętach spod znaku Jolly Roge — czarnej bandery z trupią czaszką i dwoma skrzyżowanymi piszczelami. Kapitana Galvao i jego towarzyszy oskarżano o piractwo bezpodstawnie, lecz skojarzenia i emocje niewiele mają wspólnego z prawem międzynarodowym. A przecież właśnie tam, na Morzu Karaibskim, legenda o piratach wciąż jeszcze żyje w ludzkiej pamięci.

W wieku XVII w Europie Zachodniej zapanował względny spokój. Władza państwowa uległa wzmocnieniu, zduszono frondy wewnętrzne, wojny, toczyły się tylko od czasu do czasu. Tłumy żołdaków i wszelkiego pokroju awanturników, zawadiackich, nieokiełznanych i przywykłych do życia z dnia na dzień, znalazły się nagle na lodzie. W unormowanych stosunkach społecznych czuli się wyobcowani, tym bardziej kusił ich daleki świat, dziki jeszcze i wolny. Za morza, za zwrotniki nie sięgało prawo ustalone przez możnych na pohybel biedakom. A przy tym tropikalne rejony hiszpańskiego imperium ofiarowywały odważnym niezmierzone bogactwa.

Pierwsza fala poszukiwaczy przygód opanowała około 1625 roku małą wysepkę Świętego Krzysztofa w archipelagu Wysp Podwietrznych. Hiszpanie wkrótce ich jednak stamtąd wyparli. Wówczas bractwo przeniosło się na Wielkie Antyle. Francuzi osiedlili się na Haiti, a na bazę wypadową obrali pobliską wyspę Tortugę. Anglicy zajęli Jamajkę.

Wyspy te po krwawych rządach konkwistadorów były niemal bezludne. Obfitowały za to w zwierzynę, szczególnie bawoły i dziki. Część zgrai rozpierzchła się w puszczy, oddając się łowom i żywiąc wędzonym mięsem. Część — przeważnie byli marynarze — zajęła się łupieniem wybrzeży i statków. Obie jednak grupy — myśliwcy-bukanierzy oraz rozbójniczy flibustierowie — żyły w zgodzie i solidarnie się wspierały w przeciwnościach. Podkreślając ową solidarność sami nadali sobie nazwę „braci z wybrzeża".

Ekspozytury rządowe angielskie i francuskie popierały cichaczem flibustierkę, ponieważ usprawiedliwiało to ich roszczenia kolonialne w owych rejonach. Hiszpańskie ekspedycje karne w głąb lądu nie udawały się z reguły. Ludzie zaprawieni w bojach, zdesperowani, nie mający nic do stracenia, a uzbrojeni po zęby, posiadali przewagę partyzantów nad regularnymi oddziałami niechętnie zapuszczającymi się w gęstwinę leśną. A przyciśnięci do ostateczności tym łatwiej ruszali na morze.

Wystarczyło na początek zagarnąć jakąkolwiek łajbę przycumowaną do brzegu. Garstka śmiałków — do dwudziestu najwyżej chłopa — płynęła wtedy w pierwszy rejs z zamiarem podstępnego opanowania jakiejś większej jednostki: dwumasztowej brygantyny, lub jeszcze lepiej korwety, a nawet fregaty. Z takim okrętem, zwrotnym i zasobnym w działa, można było ryzykować najbardziej szaleńcze wypady.

Załogi statków same wybierały sobie oficerów — szypra, kwatermistrza, bosmana i ogniomistrza. Niekiedy łączono się w grupy, wówczas — również w głosowaniu powszechnym — wybierano dowódcę flotylli. W drugiej połowie XVII wieku grupy takie dochodziły do kilkunastu jednostek i kilku tysięcy ludzi. Podejmowano wtedy walkę z całymi konwojami eskortowanymi przez liniowce, a nawet zapuszczano się w głąb lądu stałego zdobywać ufortyfikowane; a bogate miasta.

W czasie nawigacji oraz podczas akcji wojennych obowiązywała na pokładzie surowa dyscyplina. Kiedy jednak odniesiono zwycięstwo i kiedy już rozdzielono sprawiedliwie wszelkie łupy — zajmował się tym kwatermistrz — oficerowie mogli, jeśli chcieli, pilnować statku. Załoga schodziła na ląd i oddawała się zwykłym marynarskim uciechom. Dopiero, gdy wszystko przehulali, wracali skruszeni, zabierali się do naprawy uszkodzeń i czekali następnej okazji.

Flibustierów utożsamia się czasem z korsarzami, nie jest to jednak słuszne. Korsarze, czyli inaczej kaprowie, pozostawali na żołdzie państwowym, w czasie wojny napadali na statki handlowe nieprzyjacielskiego kraju, zdobycz przekazywali władzom, otrzymując tylko prowizję. Korsarstwo jest instytucją prastarą, znaną od czasów starożytnego Egiptu po lata ostatniej wojny. Flibustierowie działali na własną rękę, tylko na Antylach i tylko w wieku XVII, łupy zatrzymywali dla siebie, czasem jedynie przeznaczając niewielką część dla swoich mocodawców. Od zwykłych piratów, rabujących kogo popadnie, różnili się po pierwsze tym, że napadali wyłącznie na Hiszpanów, po drugie, że szczycili się posiadaniem glejtów, czyli pełnomocnictw królewskich.

Patent taki miał ich chronić od stryczka w razie niepowodzenia. Wprawdzie Hiszpanie nie zawsze respektowali owe dokumenty, bywało, że wieszali flibustierów jak pospolitych bandytów, ale częściej rzeczywiście przyznawano im prawa kombatanckie. Z drugiej strony flibustierowie czuli się wiernymi poddanymi króla, posłusznymi prawu patriotami tylko wtedy i tylko o tyle, o ile odpowiadało to ich interesom. Zazwyczaj było im doskonale obojętne od kogo otrzymują glejt. Traktowali papierek jako rodzaj talizmanu, zwykle w czasie walki zakładali go sobie na szyję. A ponieważ byli to przeważnie ludzie niepiśmienni, nie wiedzieli, co tam „stoi napisane". Zdarzyło się, że pewien kapitan przez dwadzieścia lat łupił wybrzeża Środkowej Ameryki, grabił statki legitymując się zezwoleniem króla duńskiego na hodowlę kóz.

W latach wojny flibustierowie byli wygodnymi i dzielnymi, choć niezbyt zdyscyplinowanymi sojusznikami. Ale w latach pokoju i rozejmu często sprawiali kłopoty. Zakaz walki z Hiszpanią traktowali jako kiepski żart. Hiszpania była przecież łupem zesłanym przez niebiosa, mocarstwem stworzonym tylko po to, by je grabić.

Największym okrutnikiem wśród flibustierów był niejaki Feu l'Olonois. Wsławił się zdobyciem w otwartej walce hiszpańskiej fregaty, chociaż miał dwa kiepskie działa i kilkunastu podwładnych. Gdy wrócił na Haiti zebrał kilkuset ochotników i w roku 1666 zdobył Maracaibo oraz dwa inne miasta w Wenezueli. Napastnicy wyrżnęli mieszkańców, zagrabili ogromne łupy, ale ponieśli przy tym tak wielkie straty, że rozwścieczeni porzucili swego dowódcę w dżungli. L'Olonois dostał się w ręce Indian „bravos" i marnie skończył w żołądkach ludożerców.

De Grammont był francuskim arystokratą i intelektualistą. Skazany na wygnanie po zamordowaniu szlachcica, który mu uwiódł siostrę, wystawił własnym kosztem statek i udał się na poszukiwanie przygód. Wkrótce zdobył sławę znakomitego dowódcy i stanął na czele małej, ale wybornej grupy. W roku 1683 razem z podporządkowanym mi kapitanem de Graffem i van Hornem wtargnęli nocą w trzy statki do potężnie umocnionego portu Vera Cruz, miasta założonego jeszcze przez Corteza. W ciągu jednej doby całe ogromne miasto, stolica meksykańskiej prowincji, było opanowane i doszczętnie ograbione. Zdobywcy zagarnęli 200 tysięcy dukatów w złocie, mnóstwo towarów i niewolników. Była to najbardziej zuchwała ekspedycja w dziejach flibustierki.

Najdziwniejszym oryginałem był inny szlachcic francuski, gaskończyk Monbars zwany „Tępicielem". Jako młody chłopak dowiedział się o zbrodniach Hiszpanów w Ameryce i postanowił pomścić biednych Indian. Czarny i zarośnięty budził powszechny strach, ale słynął z tego, że nigdy nie brał łupów. Walczył dla idei.

Największą jednak sławę ze wszystkich zyskał Irlandczyk Morgan, być może — jak opisują pamiętnikarze — największą ze wszystkich kanalia. Postać jego uwieczniła historia i literatura.

Morgan służył początkowo pod innym dowódcą flibustierów w wyprawie na Kostarykę. W czasie wyprawy dowódca zginął i Morgan wybrany został „admirałem". W drodze powrotnej spustoszył Kubę, później wyprawił się na Porto Bello, potężną fortecę. Nie mając armat przymusił wziętych do niewoli zakonników i mniszki do ustawienia drabin oblężniczych. Po kilku tygodniach grabieży i zabójstw miasto zapłaciło olbrzymi okup i Morgan wycofał się.

W roku 1670 na czele dwóch tysięcy awanturników przemaszerował przez cały Przesmyk Panamski i zdobył miasto Panamę, położone na brzegu Oceanu Spokojnego. Prócz innych łupów ekspedycja uniosła skarb na owe czasy niesamowity, prawie pół miliona złotych dukatów. Na wybrzeżu Atlantyku, już przy załadowaniu, ludzie zaczęli się kłócić o podział łupów. Wówczas Morgan wsiadł na statek i odpłynął zostawiając wojsko bez zdobyczy i żywności. Udał się do Londynu, gdzie odpowiednio naświetlił swoje sukcesy. Został mianowany baronetem i gubernatorem Jamajki. Okazał się teraz wielkim służbistą, zakładał plantacje, tępił flibustierów. Dożył późnej starości i umarł we własnym łóżku.

W końcu XVII wieku, wyspy, które stanowiły dotąd bazę wypadową flibustierów, zaczęły się zaludniać. Zorganizowanie administracji kolonialnej, sprowadzenie oddziałów regularnego wojska ograniczyło ich nieskoordynowaną działalność. Trwające od 1688 roku wojny między Anglią a Francją przerwały dotychczasową współpracę. Po wojnie sukcesyjnej hiszpańskiej z lat 1701 — 1713 już ich na Antylach nie było.

**Opracował K.J.**

---

# tylko dla kobiet

**MARIAN BIELECKI**

### GDY OPINIA ZASYPIA

*— Co my właściwie możemy zrobić? — pytały kobiety. — W naszej fabryce majster Z. porzucił żonę i dzieci i prowadzi flirt z młodszą naszą koleżanką. Czy my możemy temu przeciwdziałać? Czy my możemy dzieciom przywrócić troskliwego ojca?*

### CZY MAŁŻEŃSTWO PRZETRWA JESZCZE TYLKO 50 LAT?

Nie chciałbym tu rozważać problemu trwałości, czy kryzysu instytucji małżeńskiej, ani też sytuacji i układu stosunków we współczesnej rodzinie. Nie chciałbym przyłączyć się do grona ludzi, przewidujących rychły rozpad, dezorganizację i upadek instytucji małżeńskiej.

Warto tu jednak przypomnieć, iż już w XIX wieku słynny socjalista utopijny Fourier zapowiadał zmierzch rodziny, przewidywał pęknięcie „kajdan małżeństwa". Również Aleksander Świętochowski w swoim „Przeglądzie utopii w rozwoju historycznym" przyłączył się do zdania Fouriera, wreszcie I. B. Watson, słynny twórca szkoły behawioryzmu w psychologii i socjologii powiedział, iż „w ciągu 50 lat nie będzie takiej rzeczy, jak małżeństwo".

Będzie, czy nie będzie — to problem przyszłości. Na razie jednak rodzina jako podstawowa komórka społeczna istnieje i w obecnych warunkach nie może być niczym zastąpiona. A skoro tak jest, to małżonków obowiązują normy moralne i prawne ustanowione w cywilizowanych społeczeństwach. I właśnie o tym chciałbym tu kilka słów powiedzieć.

### CO MY MOŻEMY ZROBIĆ

**1** Inżynier A., dobrze sytuowany, posiada komfortowe mieszkanie, samochód i inne zdobycze współczesnej cywilizacji, poznaje wreszcie pewnego dnia młodą kobietę. Dotychczas przykładny mąż, troskliwy ojciec dwojga nieletnich dzieci, zaczyna zaniedbywać dom i rodzinę. Noce spędza w „Malinowej" i w innych lokalach, rzadko teraz bywa w domu, a jeżeli, to tylko w stanie podchmielonym. Dochodzi do częstych awantur i kłótni. Przestaje łożyć na utrzymanie domu.

Żona, dotychczas nie pracująca, zajmująca się wychowaniem dzieci, musi szukać źródła utrzymania. Pracuje obecnie jako pielęgniarka i zarabia 1.000 zł miesięcznie, a dzieci pozostają bez opieki w domu. Gehenna ta trwą już kilka lat.

W fabryce, gdzie zatrudniony jest inżynier A. na interwencję żony, wszyscy wzruszają ramionami. Co my możemy zrobić? — pytają.

Mimo trwającego już kilka lat rozkładu, małżeństwo zajmuje wspólne mieszkanie, co prawda rozdzielone. Na rozwód żona zgodzić się nie chce, bo rozwód już całkowicie i formalnie uwolniłby inżyniera A. od obowiązku troski o dzieci.

**2** Młoda, przystojna i utalentowana kobieta ze środowiska kulturalnego, poznaje równie młodego człowieka. Po pewnym okresie znajomości panna B. urodziła dziecko. Ale pan C. nie zamierza się ożenić ani łożyć na utrzymanie i wychowanie dziecka, bo w międzyczasie, w przedsiębiorstwie, w którym pracuje, poznał drugą kobietę, która stała się panią jego serca.

**3** On — lekarz, ona — lekarka. Żyli ze sobą kilka lat, mają dzieci. On poznał drugą kobietę, również lekarkę i zaczął zaniedbywać dom. Stał się bardzo nerwowy i awanturniczy, maltretuje żonę i dzieci. Któregoś wieczora wywiózł żonę własnym samochodem do pobliskiego lasku i tam siłą zdarł z niej całą biżuterię, którą w latach uprzednich jej ofiarował. Przestał dawać na utrzymanie domu i dzieci. Rozwodu na razie nie mają.

### OPINIA ŚRODOWISKA I PRAWO

Powtarzam raz jeszcze, że nie zajmuję się w tym artykule przyczynami nieporozumień, zobojętnienia i rozkładu w małżeństwie, nie wypowiadam się także za tematem możliwości, czy też potrzeby rozwiązania małżeństwa z chwilą, gdy wygasło uczucie, łączące dwoje ludzi.

Interesuje mnie głównie problem dzieci w małżeństwie ulegającym rozkładowi, problem ich zabezpieczenia przed ewentualnym głodem, niedostatkiem i brakiem ciepła rodzinnego, bo to jest problem o szerokim znaczeniu społecznym. I tu wracam do pytania postawionego przez kobiety — robotnice, które przytoczyłem na wstępie: Czy i jak należy przeciwdziałać niewłaściwemu postępowaniu jednego z małżonków w rodzinie?

Myślę, że opinia środowiska jest ogromną siłą, dotąd u nas nie wykorzystaną. Opinia środowiska solidarnie i konsekwentnie wyrażona, może stać się poważnym czynnikiem wychowawczym wobec człowieka postępującego niewłaściwie. Do mobilizowania tej opinii, jej wyrażania, powołane są organizacje społeczne, a chyba w pierwszej kolejności Liga Kobiet i ogniwa związkowe. Ale nie tylko. Można także organizować naturalną opinię społeczną mniejszych środowisk, bloku, czy ulicy. Działalność obywatelska w Łodzi, coraz wyraźniej skupia się przy komitetach blokowych i może z powodzeniem objąć już zresztą obejmuje, sprawy wychowania. Wpływać na właściwe postawy moralne ludzi. Wierzę w skuteczność takiego działania. Ale istnieją też i inne możliwości, przewidziane przez obowiązujące u nas ustawodawstwo.

Znamy wiele takich wypadków — mężowie, przeważnie alkoholicy lub innego rodzaju wykolejeńcy, trwonią zarobki, żonom zaś odmawiają pieniędzy na utrzymanie domu i dzieci. A przecież ustawodawca w artykule 20 ustawy z dn. 10 grudnia 1959 r. wyposażył Ligę Kobiet, organizacje społeczne i organa administracji państwowej w prawo „występowania do sądu z wnioskiem o nakazanie wypłaty całości lub części wynagrodzenia za pracę albo innych należności małżonka, zaniedbującego rodzinę do rąk drugiego małżonka lub osoby sprawującej opiekę nad dziećmi..."

A tymczasem — jak stwierdziłem w Sądzie Wojewódzkim dla m. Łodzi — po dziś dzień ani Liga Kobiet ani żadna organizacja społeczna, ani rady narodowe nie skorzystały z tych uprawnień i z żadnym wnioskiem w tej dziedzinie nie wystąpiły.

Wiemy z doświadczenia, że krzywdzone żony często wskutek niezaradności, wstydu, a nierzadko i obawy przed mężem, z wyraźną szkodą dla dzieci, boją się wystąpić same do sądu z takim wnioskiem, mimo, że art. 14 postępowania rodzinnego upoważnia je do tego. I o to właśnie wnoszę pretensje głównie do Ligi Kobiet i organizacji związkowych. Tam gdzie zasypia opinia społeczna, budzi się bezkarność.

# 3 WYWIADY NA JEDEN TEMAT

**O ARESZTOWANIU W ZIELONEJ GÓRZE PIĘCIU AGENTÓW WYWIADU AMERYKAŃSKIEGO POWIEDZIELI NAM:**

ŁUGNIEWSKI ADAM, TECHNIK, LAT 45 —

Dziwię się, że jeszcze teraz, 16 lat po wojnie są ludzie, którzy nie zdają sobie sprawy z siły naszego państwa i pozwalają się wciągnąć do tego rodzaju roboty. Uważam, że nie powinno być pobłażania dla tych typów. Powinno się zrobić z tego proces pokazowy, żeby wszyscy ci, którzy mieliby kiedykolwiek ochotę pójść w ich ślady, raz na zawsze przekonali się, że jesteśmy czujni i nie będziemy pobłażali takim osobnikom.

ELŻBIETA ZOSIAK, TKACZKA, LAT 32.

Takich to bym bez litości wybiła co do nogi. Człowiek męczy się, pracuje, cieszy się jak widzi, że coś z tego wychodzi i zaczyna być lepiej a taka szuja dla pieniędzy własnego ojca by sprzedał. Nie powinno być dla nich litości — to są zdrajcy, a tych trzeba tępić. Nie można pozwolić, żeby taki żył sobie spokojnie między ludźmi po tym co zrobił.

KORCZEWSKI ZYGMUNT, URZĘDNIK, LAT 54.

To już druga podobna sprawa w tym tygodniu. Bardzo dobrze, że w wypadku kobiety-szpiega z Pabianic sąd wymierzył dość surową karę. Takich ludzi nie można karać łagodnie. Niech wszyscy ci co dybią na spokój w naszej ojczyźnie wiedzą, że potrafimy szybko i skutecznie załatwić się z ich wysłannikami. Co do tej sprawy w Zielonej Górze to myślę, że te osoby powinno się potępić publicznie i odebrać im prawa obywatelskie.

Rozmawiał: **LUW**

# W „Teatrzyku Karuzeli"

O satyrze można nieskończenie. Że chłoszcze (biczem), że wyszydza (przywary), że obnaża (zgniliznę). O satyrze można również, że nudna, letnia i bez pazura.

Satyrze zaprezentowanej na niedawnym wieczorze „Karuzeli" tych ostatnich zarzutów postawić nie można. Ryszard-Marek bowiem za którym to pseudonimem kryje się dwu młodych satyryków łódzkich (jest czy raczej są) zjawiskiem w naszej satyrze dość odosobnionym. Ryszard-Marek jest po prostu dowcipny, a tego wbrew pozorom nieraz brak rutynowanym pisarzom-humorystom liczącym sobie więcej lat niż Ryszard i Marek mają razem wzięci.

Na spektaklu „Karuzeli" była jak zawsze zresztą zabawa na tzw. duży złoty medal. Tego jak się zdaje nie trzeba nawet podkreślać — to się rozumie samo przez się. „Wiadomo „Karuzela"!

*jw*

## ZAGADKA TYGODNIA

**DZIŚ:**
**ZAGADKA WOJSKOWA**

**W którym roku i w jakim państwie wprowadzono po raz pierwszy na świecie do uzbrojenia armii lądowej samochód pancerny? Zadaniem Czytelników jest prawidłowe zestawienie daty z nazwą państwa.**

| | |
|---|---|
| **1) 1750** | **1) Anglia** |
| **2) 1898** | **2) Francja** |
| **3) 1900** | **3) Stany Zjedn.** |

**Kogo w starożytności określano mianem „hoplitów"?**

**1) Legionistów rzymskich?**
**2) Ciężkozbrojną piechotę grecką?**
**3) Obsadę egipskich wozów bojowych?**

**Rozwiązania wyłącznie na kartkach pocztowych prosimy nadsyłać w terminie tygodnia. Między Czytelników, którzy nadeślą prawidłowe rozwiązania rozlosowane będą nagrody książkowe.**

## informacje i zaczepki

**Ponad 6 milionów złotych zaoszczędzi się w Zakładach im. Barlickiego dzięki podjętym przez grupy ZMS zobowiązaniom. Niezmiernie nas zdziwiła wiadomość o recytacjach awangardowych więcej w przerwach między tańcami na wieczorkach tanecznych, zwłaszcza bowiem nastrój, atmosferę i minimalną ochotę do ich słuchania ewentualnych słuchaczy jest to przysłowiowy „kwiatek przy kożuchu". Członek Biura Politycznego Komitetu Centralnego Partii Roman Zambrowski gościł w naszym mieście z okazji Okręgowej Konferencji Wyborczej PZPR dzielnic Polesie i Bałuty. Jako pierwszą w kraju otwarto w naszym mieście kawiarnię-klub ZMS w lokalu dawnej Staromiejskiej. W ciągu najbliższych tygodni otwartych zostanie na Bałutach 5 nowych świetlic; warto zaznaczyć, że jest to inicjatywa Zarządu Dzielnicowego Ligi Kobiet. Eksponowaną przez dwa tygodnie w Muzeum Włókiennictwa w Łodzi wystawę arrasów obejrzało 100 tysięcy łodzian co daje przeciętnie ponad 8.000 zwiedzających dziennie. Ostatnio obserwujemy renesans studenckich zespołów dramatycznych („Forum", „Cytryna") które z powodzeniem wypełniają lukę po cierpiącym na uwiąd starczy „Pstrągu". W Filharmonii Łódzkiej koncertowała w ubiegłym tygodniu znana japońska pianistka Kyoko Tanaka, faworytka warszawskiej publiczności w czasie konkursu Chopinowskiego w roku 1955. Najgęściej zaludnionymi powiatami w naszym województwie (ponad 90 osób na 1 km²) są powiaty łódzki i kutnowski. Nakładem Państwowego Wydawnictwa Naukowego ukazała się ostatnio interesująca praca prof. dra Jana Szczepańskiego pt. „Socjologia — rozwój problematyki i metod" — będąca przeglądem szkół socjologicznych od początku XIX wieku aż po współczesność.**

**WIL.**

# Giovanni Bortolato

***Najostrzejsze ołówki świata***

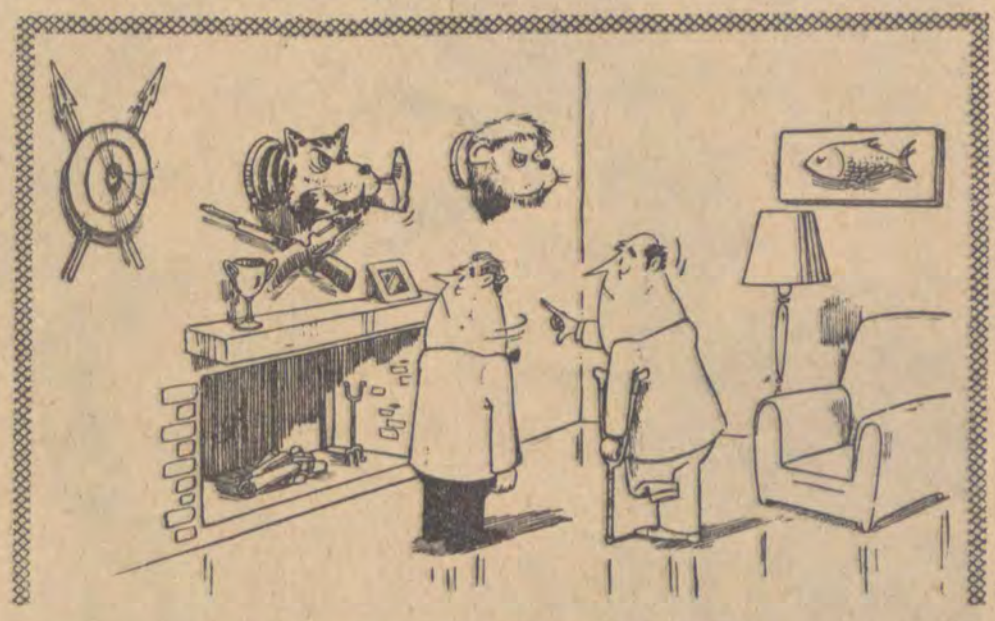

*— Z tym okazem miałem trochę kłopotu...*

**Ten utalentowany rysownik właściwie dopiero niedawno doszlusował do czołówki włoskich humorystów. Zrażony niepowodzeniami jako grafik — jeszcze przed 10 laty uprawiał fotoreporterkę. Potem realizował fotograficzne „komiksy" — tasiemcowe cykle inscenizowanych zdjęć, przedstawiające miłosne perypetie ubogich ekspedientek, lub zgoła życiorysy biblijnych bohaterów... To zajęcie było wprawdzie nader intratne, lecz zaszczytu nie przynosiło: Bortolato powrócił więc do rysunku. Tym razem wygrał, zdobył sławę i uznanie, tak duże — że mógł się całkowicie poświęcić rysowaniu żartów obrazkowych.**

*— Czy nie przesadzasz z tym karnym?*

**Pozornie tradycjonalne (bo opatrzone zawsze podpisem) żarty Bortolata mają jednak tę rzadką zaletę, że podstawową rolę odgrywa w nich zawsze rysunek, on właśnie decyduje o dowcipie. Niemal każdy rysunek już sam w sobie jest śmieszny — uzupełnienie tekstowe jedynie potęguje komizm. Mechanizm tego polega przeważnie na tym, że niezwykle zaskakujące sytuacje, bohaterowie Bortolata komentują raczej spokojnie, flegmatycznie, a zawsze „na opak".**

**(JERT)**

**TADEUSZ GICGIER**

**FILOZOFIA**

**Mam może siedzieć rok lub dwa lata?**
**Nie jestem wariat! Udam wariata.**

# NASZA KRZYŻÓWKA

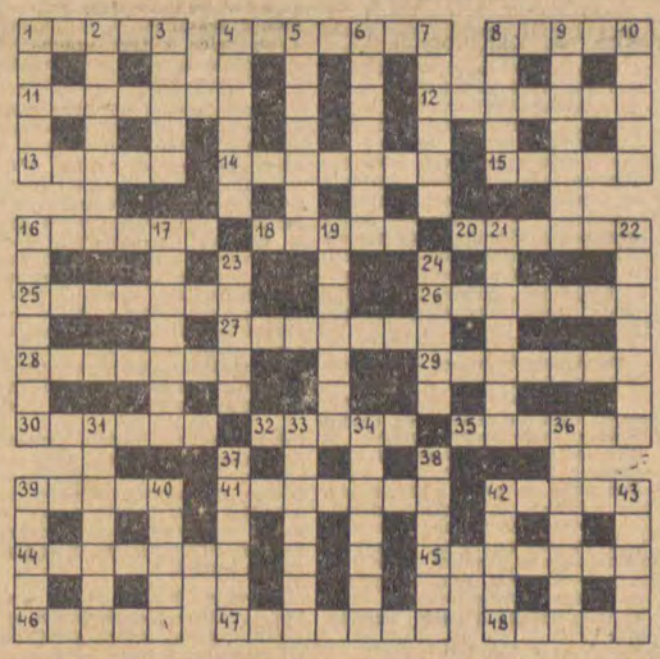

**ZNACZENIE WYRAZÓW:**

**POZIOMO** — 1) Chwast zbożowy o fioletowych kwiatach. 4) Pracuje w kontroli technicznej. 8) Boczek wieprzowy solony albo peklowany, a potem wędzony. 11) Zbieg niezgodnych lub sprzecznych okoliczności, interesów lub zasad. 12) Instrument muzyczny. 13) Nietoperz. 14) Osada bobrów. 15) Imię żeńskie. 16) Szeroka i długa wstęga. 18) Rodzaj półki na książki, akta itp.. 20) Świt. 25) Legenda. 26) Nazwa miesiąca w kalendarzu muzułmańskim. 27) Imię żeńskie. 28) Stolica Cypru. 29) Znawca. 30) Mocarz. stop miedzi z cynkiem. 32) Łobuz paryski. 35) Jednostka pomiarowa przestrzeni międzygwiezdnych. 39) Gruba gałąź. 41) Gliniany instrument muzyczny. 42) Największa rzeka we Francji. 44) Leczenie. 45) Dowiedczenie. 46) Mebel. 47) Satelita. 48) Ptak.

**PIONOWO** — 1) Poczwarka jedwabnika w oprzędzie. 2) Jeden z posiłków. 3) Cukierek. 4) Gałąź przemysłu lub handlu. 5) Starożytna bogini miłości i urodzaju. 6) Zaburzenie tętna wskutek nienormalnej czynności serca. 7) Wiraż. 8) Oklaski. 9) Kawaleria. 10) Nić. 16) Odmiana klawikordu. 17) Precyzja w wykończeniu. 19 Zbiór dzieł sztuki lub miejsca na wyższych piętrach w teatrze. 21) Państwo europejskie. 22) Ptak. 23) Przyrząd do podnoszenia ciężarów. 24) Droga. 31) Rzymska bogini mądrości. 33) Miejsce walki szermierzy. 34) Jest na drzewie iglastym. 36) Przyprawa kuchenna: roślina uprawna, z której otrzymuje się żółty proszek do barwienia. 37) Pierwiastek chemiczny, metal twardszy niż żelazo. 38) Dokument uprawniający do prowadzenia zakładu handlowego lub przemysłowego. 43) Imię żeńskie.

**Termin nadsyłania rozwiązań — 2 tygodnie.**

**Rozwiązanie krzyżówki z n-ru 5**

**Poziomo** — dzwonko, awitaminoza, tango, potop, transparent, zagadka.

**Pionowo** — dziennikarz, odmęt, onomatopeja, ametyst, anapest, sepia.

Nagrody książkowe za rozwiązanie krzyżówki wylosowali:

1. **Józefa Piekarz**, Łódź, ul. Kilińskiego 160 m. 35-a.
2. **Walenty Jedrzejewski**, Łódź, ul. Biegańskiego 31.

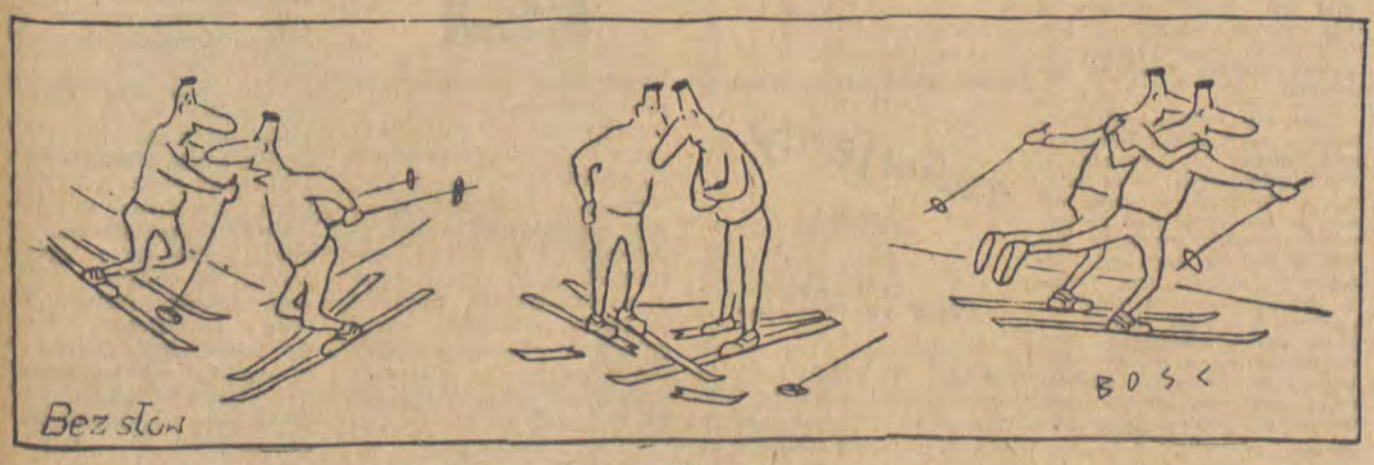


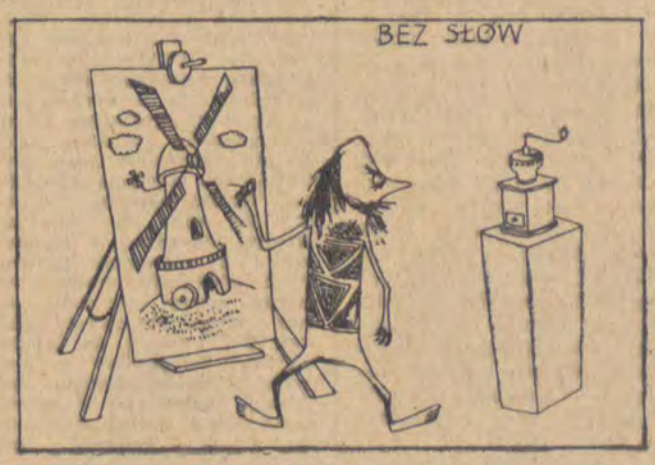

*Na powitanie wiosny*

*Fot. W. Parys*

# ODGŁOSY tygodnia

ALL RIGHTS RESERVED
WSZELKIE PRAWA ZASTRZEŻONE
COPYRIGHT BY ODGŁOSY

ZAMIAST KRZYŻÓWKI

**Podajemy p.t. czytelnikom tabelę ilustrującą pracę Pogotowia MO w Łodzi**

| Rok | 1958 | 1959 | 1960 |
|---|---|---|---|
| Ogółem interwencji | 13.369 | 13.230 | 20.636 |
| w tym | | | |
| Zakłócenia spokoju publicznego w lokalach i na ulicy | 1.435 | 1.968 | 8.259 |
| Awantury rodzinne i domowe | 6.432 | 3.860 | 5.873 |
| Przypadki opilstwa | 3.789 | 3.355 | 3.011 |
| Inne | 1.713 | 4.047 | 3.493 |

## Co idzie?

W r. 1960 sprzedano w Łodzi 550 tysięcy sztuk środków ochronnych dla mężczyzn. Wobec tego, że popyt znacznie przewyższył podaż, plan sprzedaży na b. rok ustalono na milion sztuk!

Zaobserwowano, że zapotrzebowanie na tego rodzaju środki antykoncepcyjne wzrasta w naszym mieście w II i III kwartale każdego roku o około 20 proc. Latem, w rejonach nadmorskich i na Pojezierzu Mazurskim, a zimą w ośrodkach górskich sprzedaż osiąga wskaźnik 150 proc.!

## Istotna przyczyna

Odpowiadając na pytanie, zawarte w pewnej przeprowadzanej wśród rozwodzących się małżeństw ankiecie, Maria S. jako przyczynę złożenia pozwu o rozwód podała: „częste przebywanie męża poza domem".

W „uwagach" wyjaśniła dodatkowo, że na 10 lat trwania małżeństwa, 8 lat mąż spędził w... więzieniu(!)

## Obwieszczenie

W związku z notorycznym, spontanicznym i nieograniczonym wzywaniem organów Milicji Obywatelskiej do incydentów w rodzaju:

„Wiśniewski nie zamknął kranu i zalało mi sufit".

„Malinowska brudzi WC".

„Nowakowa trzaska drzwiami a jej bachory kują dziury w ścianach".

„Ta ździra Kowalska nazwała mnie flądrą".

przypomina się, że wymieniona kategoria wykroczeń przeciwko współżyciu społecznemu ścigana jest z oskarżenia prywatnego, wobec którego milicja jest „ni pri czem"

W szczególności każdy może każdego skarżyć do Sądu Powszechnego za:

— lekkie uszkodzenie ciała z art. 237 kk
— naruszenie nietykalności cielesnej z art. 238 kk
— najście domu z art. 252 kk
— naruszenie tajemnicy korespondencji prywatnej z art. 253 kk
— zniesławienie z art. 255 kk
— obrazę z art. 256 kk
— uszkodzenie cudzego mienia z art. 263 § 1 i 2 kk
— zabór rzeczy o wartości niematerialnej (np. fotografii ślubnej) z art. 272 kk.

Oczywiście wniesienie oskarżenia prywatnego kosztuje.

A czas milicji to nie kosztuje?!!

A milicjant to niby panna do wszystkiego albo wielbłąd?!!

## SAM-okrytyka

Wiesław P. już ponad 10 lat jest kierownikiem jednego z łódzkich sklepów spółdzielczych z artykułami gospodarstwa domowego. Nigdy nie miał dotychczas braków ani niedoborów. Niedawno, po dokonaniu lekkich przeróbek — wspomniany sklep powiększył sieć „SAMÓW".

W niespełna miesiąc później Wiesław P. z przerażeniem stwierdził, że — jak wykazał to pobieżny remanent — w nowym „SAM-ie" powstało sięgające 3 tys. zł manko.

## mały rocznicek statystyczny

**W odcinkach**

**W Łodzi zanotowano najwyższą w kraju liczbę korzystających z łaźni. W roku 1959 przewinęło się przez 42 zakłady kąpielowe 1,349 tys. osób. Na drugim miejscu jest Katowickie (1,295 tys. osób na 22 zakłady), na trzecim — m. Poznań (1,038 tys. osób na 8 zakładów).**

**Oczywiście nasze chlubne w dziedzinie chodzenia do łaźni przodownictwo oznacza nie tyle powszechne ulubienie wody i mydła, ile brak łazienek w mieszkaniach prywatnych.**

## Pazerny trębacz

*Jedną z atrakcji „Dni Ziemi Opolskiej" w Łodzi miało być odtrąbienie z wieży ratusza przy pl. Wolności hejnału miasta Opola. Ku oburzeniu pono kilku tysięcy łodzian, zgromadzonych któregoś południa u stóp naczelnika Kościuszki, do trąbienia rzeczonego hejnału nie doszło. Albowiem zgodzony do dęcia obywatel Opola, Weis, mający pobierać 150 zł dziennie (plus zwrot kosztów delegacji) zwietrzył interes i zażądał stawki trzykrotnie wyższej. Ojcowie Opola zajęli jednakże nieprzejednane stanowisko. Woleli zawieść łodzian (nie mówiąc o Naczelniku) niż ulec reprezentacyjnej trąbie.*

Jerzy Blimel zamieszkały Głucha Wieś 16 (Bałuty) jest osobą znaną nie tylko w całej dzielnicy i w referacie opieki społecznej, który zajmuje się w jego „zastępstwie" trojgiem dzieci i żoną, lecz także w milicji, prokuraturze i sądzie, nie mówiąc już o takiej instytucji jak Izba Wytrzeźwień. Właśnie któregoś dnia został do tej ostatniej „zaproszony" po awanturze ,którą urządził w domu. Kiedy wrócił, zdemolował mieszkanie, potłukł sprzęty, naczynia kuchenne, pocią pierzynę, pościel i wszystką odzież żony. Zostawił jedno pobojowisko.

To dopełniło miary wyczynów Blimela. Dotychczas proszono go do rady narodowej, przekazywano na leczenie odwykowe, dyskutowano jego sprawy nawet w Komitecie Frontu Jedności. Pomagano żonie i dzieciom, które nierzadko w nocy podczas ulewy uciekały z matką z domu. Prokuratura tym razem przekazała sprawę do sądu. Rozprawa odbyła się w grudniu ub. r. Pod koniec stycznia Blimel... wrócił do domu. Uniewinniony? Nie. Wyrok brzmi: 1 rok aresztu. Ale..)

Blimel nie jest w pełni odpowiedzialny za swoje czyny. Opinia biegłych, których zmobilizowała do pomocy obrona stwierdza:

**W czasie dokonywania zarzucanych mu czynów rozumiał ich istotę i znaczenie,** lecz zdolność kierowania swym postępowaniem miał ograniczoną w sposób znaczny. Ograniczenie to wynikało ze zmian w psychice, spowodowanych **przewlekłym alkoholizmem.** Oskarżony po odbyciu kary więzienia **powinien być umieszczony w zakładzie zamkniętym celem przeprowadzenia kuracji odwykowej.** Na tej podstawie Blimel skorzystał z art. 18 łagodzącego odpowiedzialność za czyny przestępcze. Popełniono pomyłkę. Na tej samej podstawie (tzn. opinii biegłych) można było zastosować artykuł mówiący o tym, że stan podniecenia alkoholowego jest okolicznością obciążającą a nie łagodzącą.

Blimela zwolniono. Jego matka wystosowała epistołę zawierającą charakterystykę syna, z której wynika, że jest on bardzo pracowitym, dobrym mężem i ojcem, że trzeba mu umożliwić powrót do domu i wychowywanie dzieci. Adwokat zapowiedział złożenie rewizji wyroku. Zwolniono więc Blimela do czasu uprawomocnienia się wyroku. Wrócił „wychowywać" dzieci. Pierwszym aktem „skruchy" było wyrzucenie z domu teściowej razem ze sprzętami. A potem wszystko potoczyło się utartym torem. Picie i maltretowanie rodziny trwa...

Przepraszam, zostało przerwane 1 marca. Blimela w tym dniu aresztowano. Nowa rozprawa odbędzie się wkrótce. Znowu jest oskarżony o maltretowanie rodziny i dodatkowo (nie pierwszy raz) o zaatakowanie funkcjonariuszy milicji.

Adwokat będzie miał nowy kłopot. Może jednak biegli tym razem ogłoszą opinię o całkowitej niepoczytalności notorycznego alkoholika kochającego żonę i dzieci, i nie trzeba będzie składać rewizji wyroku.

## Niech żyje sport

**Działo się to 25 września 1960 r. podczas zawodów kolarskich. W niewyjaśnionych okolicznościach młodociany sportowiec wziął udział w wyścigu dostępnym tylko dla wysokokwalifikowanych i odpowiednio fizycznie predystynowanych zawodników. Pojechał pod sfałszowanym nazwiskiem. Wykryty w toku wyścigu, zmuszony został do wycofania się z konkurencji, po czym dyscyplinarne instancje łódzkiego kolarstwa zajęły się zbadaniem tego niewątpliwego złamania dyscypliny. Wyszło na jaw, że doszło do niego nie tylko za wiedzą, ale nawet z inicjatywy i na polecenie trenera. Pełni zdumienia kierownicy tej gałęzi sportu otrzymali jednak pisemne wyjaśnienie kolarza, że... ukradł on numer startowy (stanowiący na czas wyścigu rodzaj dowodu osobistego sportowca) i dzięki temu wziął udział w wyścigu. Ukarano kolarza z całą surowością, uwalniając od wszelkiej winy trenera.**

**Tymczasem jesteśmy w posiadaniu oświadczeń i zeznań zainteresowanych, iż p. Teofil Sałyga polecił swemu podopiecznemu startować, wręczył mu numer startowy, a gdy sprawa wyszła na jaw inspirował nieprawdziwe zeznanie złożone władzom kolarskim.**

**Nikt nie będzie miał trudności z zakwalifikowaniem takich metod wychowawczych, zaprezentowanych przez człowieka, któremu powierza się opiekę nie tylko nad sprawnością fizyczną młodzieży. Dziwić natomiast musi fakt, że mimo iż sprawa jest głośna w zainteresowanych kołach i upłynęło 5 miesięcy odkąd nabrała obiegu urzędowego, nikt nie kwapi się z jej wyświetleniem wobec opinii publicznej i zainteresowaniem się osobliwymi poczynaniami trenera.**

## galeria sprytnych ojców

**40-letni TEODOR TOMCZAK nie płaci 250 zł miesięcznie na utrzymanie swego syna od lipca 1959 roku. Ostatnio mieszkał w Łodzi przy ul. Przybyszewskiego 95 m. 11. Mieszkanie to jednak opuścił pozwalając wprowadzić się doń swojemu znajomemu i wyjechał w nieznanym kierunku.**

**35-letni KONSTANTY DOŚPIAŁ zalega ze świadczeniem na swego syna od maja 1959 roku. 29 marca 1960 roku Prokuratura Powiatowa dla dzielnicy Łódź-Śródmieście zarządziła wszczęcie poszukiwań za Dośpiałem. Jak dotąd bez rezultatu.**

**Za złośliwe uchylanie się od płacenia alimentów w wysokości 200 zł miesięcznie Sąd Powiatowy dla m. Łodzi skazał w 1954 roku KAZIMIERZA STENCELA na karę 9 miesięcy więzienia z zawieszeniem na okres 2 lat. Stencel, z zawodu fotograf, najpewniej nie przejął się tym wyrokiem. Ukrywa się i nie płaci alimentów. Ostatnio żona jego dowiedziała się, że został zatrzymany przez Prokuraturę Powiatową w Bytomiu pod zarzutem dokonania innego przestępstwa. Zanim wysłano odpowiednie pisma do Bytomia Stencel z braku dowodów winy został zwolniony i znowu znikł...**

## notujemy ceny

### Cena za transfer

Zwątpienie i rezygnacja co do przyszłości ulubieńców ogarnęły tysiące kibiców ŁKS, gdy dowiedzieli się, że podpora drużyny, reprezentacyjny stoper — Szczepański pożegnał się z czerwono-białymi i przeszedł do opolskiej Odry.

Obecnie, z kół dobrze na ogół zorientowanych dowiadujemy się na jakich warunkach odbył się ten transfer. Szczepański otrzymał w Opolu nowoczesne, dwupokojowe mieszkanie z kuchnią i garażem, a w garażu stało podobno „coś", w cenie powyżej 100 tysięcy złotych („Warszawa")?

## Dla eksporterów

Łodzianie w wielu przypadkach z powodzeniem wyręczają w eksporcie wyrobów polskiego przemysłu nasze centrale zajmujące się handlem zagranicznym. Ten wniosek wyciągnęliśmy z informacji uzyskanych z pierwszej ręki, bo z Urzędu Celnego, który mieści się przy ul. Karolewskiej.

Co wysyłamy za granicę?

Primo — wszelkie „suche" wędliny oraz szynkę. Kierunki tego eksportu: Izrael, NRF, NRD, USA, Szwecja. Następnym towarem w kolejce jest alkohol w postaci spirytusu bądź wódek gatunkowych. Odbiorcy: adresaci w Szwecji, Izraelu, NRF, Belgii, Anglii.

Poszukiwanymi artykułami na rynkach amerykańskich, niemieckich oraz Tel-Avivu są: kryształy, grzyby, pierze.

Dla zainteresowanych podajemy wysokość opłat celnych.

1 kilogram „suchej" wędliny — 50 zł
1 litr spirytusu — 100 zł
1 kilogram grzybów — 600 „
1 kilogram pierza — 300 „
1 kilogram puchu — 700 „

Uwaga: przestrzega się przed odkładaniem wysyłki paczek na ostatnią chwilę przed takimi świętami jak: Boże Narodzenie, Nowy Rok, Wielkanoc. Narazi to klienta UC na wyczekiwanie. Paczki o wadze przekraczającej 5 kg nie są przyjmowane.